



GAZETA

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

wyborcza.pl

Wtorek, 6 lutego 2024 | Redaktor prowadzący Piotr Rozpara | Cena gazety 5,99 zł (w tym 8% VAT) | nr 30.10524, 2

Nakład 47 tys. + 300 tys. prenumerat cyfrowych



Chile

TRAGICZNE W SKUTKACH POŻARY

Co najmniej 112 osób zginęło w pożarach, które wybuchły przed weekendem w środkowym Chile. Ogień najpierw pojawił się na trudno dostępnych, zalesionych obszarach górskich, ale szybko zaczął zagrażać obszarom miejskim. Liczba ofiar może wzrosnąć, bo ratownicy wciąż przeszukują spalone i zawalone domy. Do tego część poszkodowanych trafiła do szpitali w stanie krytycznym. Prezydent ogłosił dwudniową żałobę narodową. ● rj

Więcej ► Wyborcza.pl

Jak Orlen sprzedawał Lotos

NIK uderza w Sasina

„Lotos został sprzedany zbyt tanio, nad transakcją nie było nadzoru, minister aktywów państwowych abdykował ze swoich zadań kontrolnych i nie miał chęci wnikania w szczegóły”

Wojciech Czuchnowski

Najwyższa Izba Kontroli przedstawiła raport na temat Orlenu. Dokumentuje on nieprawidłowości z czasów, gdy prezesem koncernu był Daniel Obajtek. Wnioski NIK w sprawie sprzedaży Lotosu uderzają głównie w byłego szefa Ministerstwa Aktywów Państwowych Jacka Sasina.

Co najmniej 5 mld zł straty
„PKN Orlen zbyt podmiotom prywatnym aktywa co najmniej o 5 mld zł poniżej szacowanej przez NIK ich wartości, w tym zbycie udziałów

RAFINERII Gdańskiej sp. z o.o. na rzecz Aramco nastąpiło poniżej wartości wyceny o ok. 3,5 mld zł. Jednocześnie Aramco uzyskało bardzo mocną pozycję w Rafinerii Gdańskiej, w tym prawo weta wobec kluczowych decyzji strategicznych w zakresie zarządzania spółką. Występuje więc ryzyko paraliżowania działalności Rafinerii Gdańskiej w przypadku braku zgody udziałowców co do strategicznych kierunków rozwoju spółki” – to główne tezy z poniedziałkowej konferencji, na której przedstawiciele NIK pokazali raport oceniający działania Orlenu i rządu PiS przy sprzedaży zagranicznym firmom udziałów w Lotosie.

Sprawa sprzedaży Lotosu, w tym udziałów w Rafinerii Gdańskiej, jest dzisiaj określana jako „największa afera rządów PiS”. Z tego, co można było usłyszeć na konferencji, zaniechania poprzedniej ekipy były rzeczywiście poważne i gdyby nie one, transakcja w takim kształcie nie byłaby możliwa.

Prowadzący konferencję p.o. dyrektor Maciej Maciejewski i jego

zastępca Michał Wilkowicz, kierujący departamentem gospodarki, skarbu państwa i prywatyzacji, podkreślali, że kontrola oraz opublikowany po niej raport nie są pełne, bo Orlen nie wpuszczał inspektorów NIK. Dlatego na wiele pytań nie uzyskano odpowiedzi. – Odmowa poddania się kontroli jest niezgodna z prawem i tak właśnie oceniły ją sądy – mówił rzecznik NIK Marcin Marjański. Jednocześnie brak dostępu do materiałów Orlenu nie pozwolił na sformułowanie zawiadomień do prokuratury, a wcześniej ocenę, czy mogło dojść do przestępstwa.

Minister nie przyjmował zastrzeżeń

Kontrola objęła instytucje, które powinny nadzorować Orlen jako spółkę z udziałem skarbu państwa i mającą zasadnicze znaczenie z punktu widzenia bezpieczeństwa energetycznego Polski. Najważniejsze z nich to Ministerstwo Aktywów

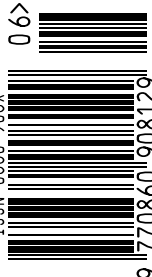
Państwowych oraz Ministerstwo Środowiska i Klimatu.

I to do kierowanego przez wicepremiera Jacka Sasina MAP Izba ma najwięcej zastrzeżeń.

Z wypowiedzi dyrektorów Maciejewskiego i Wilkowicza wynika, że Sasin nie przyjmował do wiadomości zastrzeżeń do transakcji, które formułowali nawet powołani przez niego doradcy. Wydając rekomendację o tym, by rząd zgodził się na połączenie Lotosu z Orlenem (czego warunkiem była rozprzedaż Lotosu), forsował przeprowadzenie tej operacji w trybie nadzwyczajnym, choć – jak uważa NIK – sytuacja tego nie wymagała.

Na pytanie „Wyborczej”, czy NIK natknęła się na dowody, że w samym MAP zgłaszane były sprzeczności, które Sasin odrzucał lub pomijał, Wilkowicz potwierdził, lecz zastrzegł, że są to informacje poufne, których raport (niezbyt zresztą długi, bo liczący 92 strony z załącznikami) nie zawiera. ●

Wydaje Agora SA
nr indeksu 348198



Kultura

Jak nagrywano „We Are the World”

Film „Najwspanialsza noc w historii popu” przedstawia kulisy powstania słynnej piosenki „We Are the World”. Ogląda się to jak najlepszy komediodramat.

► 15



Ekonomia

Bycie uczciwym musi się opłacać

Koniec z premiami za brak zwolnień lekarskich – takie są plany ministrowi pracy. Przestrzeganie kodeksu pracy powinno być normą. ► 13

Witamy w Polsce

Krzyczał, że jest chory

– Policjanci zapytali, czy mama pojedzie z nimi na oględziny zwłok – wspomina siostra Tomasz Kramka, który zginął w Lublinie. ► 18-19

Agnieszka Kublik



Prawo, sumienie i Duda

Jest doktorem nauk prawnych. Ukończył Uniwersytet Jagielloński. Jest świadom tego, co oznacza prawo i jak je stosować. Wiecie, o kogo chodzi? Tak, o prezydenta Andrzeja Dudę. Tak, jest doktorem prawa, na Uniwersytecie Jagiellońskim obronił pracę doktorską „Interes prawny w polskim prawie administracyjnym”. Powstała pod kierunkiem prof. Jana Zimmermanna, co ma tu znaczenie kapitalne.

A słowa te wypowiedziała Grażyna Ignaczak-Bandych, szefowa Kancelarii Prezydenta RP. I chyba tylko to, że jest podwładną Dudy, tłumaczy, dlaczego tak go broni.

Ignaczak-Bandych dodała jeszcze, że „prezydent Andrzej Duda będzie działał dalej zgodnie z własnym sumieniem i prawem”.

„Dalej”? Przecież kilkanaście razy złamał konstytucję. Nagina prawo, zwleka z decyzjami, które powinien podejmować od razu. Na przykład dwóch naukowców – prof. Walter Żelazny i prof. Michał Bilewicz – już kilka lat czeka na profesorskie tytuły. Wiceprezes Trybunału Konstytucyjnego czeka na powołanie pół roku. A siedmiu nowych sędziów PKW – ponad miesiąc. Bez powodu.

Nie ma żadnych przeszkód, by te decyzje podjąć. Ale nie ma też woli prezydenta. I prezydent uważa, że ma do tego prawo.

Jest za to jego wola, by przesyłać do Trybunału Konstytucyjnego wszystko, co uchwalili większość sejmowa. Bez względu na to, czego nowe prawo ma dotyczyć, ustawy i tak

trafiają na biurko Julii Przyłębskiej. Tej, która od grudnia 2022 r. nie jest już prezesem Trybunału. Ale, jak wyjaśnia szefowa kancelarii Dudy, „prezydent nie boi się komentarzy ani opinii”. Dlaczego? Bo „z prezydentem podejmują dyskusje różni ludzie”.

– Dyskusje te są bardzo ciekawe, a najciekawszy są dyskusanci, bo z panem prezydentem dyskutują ludzie o przeróżnych profilach wykształcenia albo bez. Natomiast pan prezydent jest doktorem nauk prawnych. Ukończył Uniwersytet Jagielloński. Jest świadom tego, co oznacza prawo i jak je stosować. Był także nauczycielem akademickim. Więc dyskusja z ekspertem niechże będzie prowadzona na jakimś poziomie, a niektóre sformułowania, zarzuty są poza jakimkolwiek poziomem, dlatego nie będziemy tak nisko upadać – tak szefowa kancelarii tłumaczyła, dlaczego Duda nie przejmuje się głosami, że szantażuje rząd Donalda Tuska.

Czy opinia prof. Zimmermanna jest „na jakimkolwiek poziomie”? Bo już w grudniu 2015 r. przyznał: „Ubolewam, że mój wychowanek prezydent Duda łamie konstytucję”.

A w styczniu tego roku, komentując zapowiedź Dudy, że będzie wetował ustawy większości rządzącej, mówił: „Te słowa nie mają dla mnie żadnego znaczenia, on już tyle obiecywał. Oczywiście jakaś nadzieja jest, bo trochę uwolnił się od Kaczyńskiego, Ziobry czy Morawieckiego, ale przecież podczas tego samego zaprzysiężenia wypowiedział moim zdaniem haniebne słowa, że jest człowiekiem z innego ugrupowania niż przejmujący władzę. Jak prezydent reprezentujący wszystkich Polaków może coś takiego powiedzieć?!”.
Czy prof. Zimmermann jest „na poziomie” Dudy? ●

Andrzej rysuje



Kampania #LoveYourVote Aktorka jako sufrażystka



Kate Willoughby, aktorka i pisarka, w metrze w Londynie przebrana za sufrażystkę Emily Wilding Davison podczas kampanii #LoveYourVote.

Więcej zdjęć i niezwykłych galerii na Wyborcza.pl/zdjecia

Liczba dnia

8103

MLN DOL.
Za tyle został sprzedany na aukcji zestaw butów, w których Michael Jordan grał w finałach NBA w latach 1991-93 i 1996-98.

Badania z udziałem ludzi Czy szczepionka mRNA zwalczy raka?

U pacjentów ze szpitala Hammer-smith w zachodnim Londynie zastosowano rewolucyjną terapię przeciwnowotworową, znaną jako terapia mRNA. Badanie ma sprawdzić jej bezpieczeństwo i skuteczność w leczeniu czerniaka, raka płuc i innych nowotworów litych. Nowa terapia wykorzystuje materiał genetyczny, określany jako informacyjny RNA lub mRNA.

Działa on przez zaznajomienie układu odpornościowego z markerami nowotworowymi, czyli podobnie jak szczepionka (np. mRNA przeciw COVID) przygotowująca organizm na atak patogenu. Tym razem chodzi jednak o walkę z komórkami raka.

– Nowe immunoterapie przeciwnowotworowe oparte na mRNA umożliwiają aktywację własnego



układu odpornościowego pacjenta do walki z rakiem – tłumaczy dr David Pinato, onkolog kliniczny na Wydziale Chirurgii i Raka w Imperial College w Londynie.

Badanie wciąż jest na wczesnym etapie i mogą minąć lata, zanim jego wyniki i potencjalna szczepionka na raka staną się dostępne dla chorych. ●

Margit Kossobudzka

WWW.NEKROLOGI.WYBORCZA.PL/34300816

Z głębokim żalem
przyjeliśmy wiadomość o śmierci



Krzysztofa Żabińskiego

Przyjaciela, wspaniałego i skromnego człowieka,
Absolwenta Wydziału Elektroniki Politechniki Poznańskiej,
Działacza Solidarności internowanego w Strzebielinku,
niezłomnie kontynuującego aktywność w strukturach podziemnych Związku,
Posła X i I kadencji Sejmu w latach 1989-1993,
Ministra-szefa Urzędu Rady Ministrów
w rządzie Jana Krzysztofa Bieleckiego,
Wiceministra spraw wewnętrznych w latach 1992-1993
w rządzie Hanny Suchockiej,
Odznaczonego Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski,
Krzyżem Kawalerskim Orderu Odrodzenia Polski oraz
Krzyżem Wolności i Solidarności.

Rodzinie i Bliskim

składamy
wyrazy głębokiego współczucia

Jan Krzysztof Bielecki, Hanna Suchocka, Leszek Balcerowicz,
Henryka Bochniarz, Krzysztof Kilian, Jacek Kozłowski, Henryk Majewski,
Tomasz Siemioniak, Ryszard Wojtkowski

KORZYŚCI Z POŁĄCZENIA ORLEN LOTOS I PGNiG

Rozwój i bezpieczna przyszłość



Bezpieczeństwo

- Stabilne dostawy ropy i gazu do Polski i zakończenie importu ropy z Rosji
- Przewycięzenie kryzysów energetycznych ostatnich lat dzięki połączeniom i koordynacji działań w ramach jednego podmiotu
- Rozwój własnego wydobycia ropy i gazu w Norwegii oraz wymierne oszczędności dzięki połączeniu wydobycia LOTOS i PGNiG

Efektywność

- Dotychczas już 1,5 mld zł dodatkowych korzyści z 20+ mld zł zaplanowanych synergii do 2032 roku
- Już 900 mln zł dodatkowych korzyści z połączenia przypadających na dawny Lotos, to faktyczna wartość dla akcjonariuszy

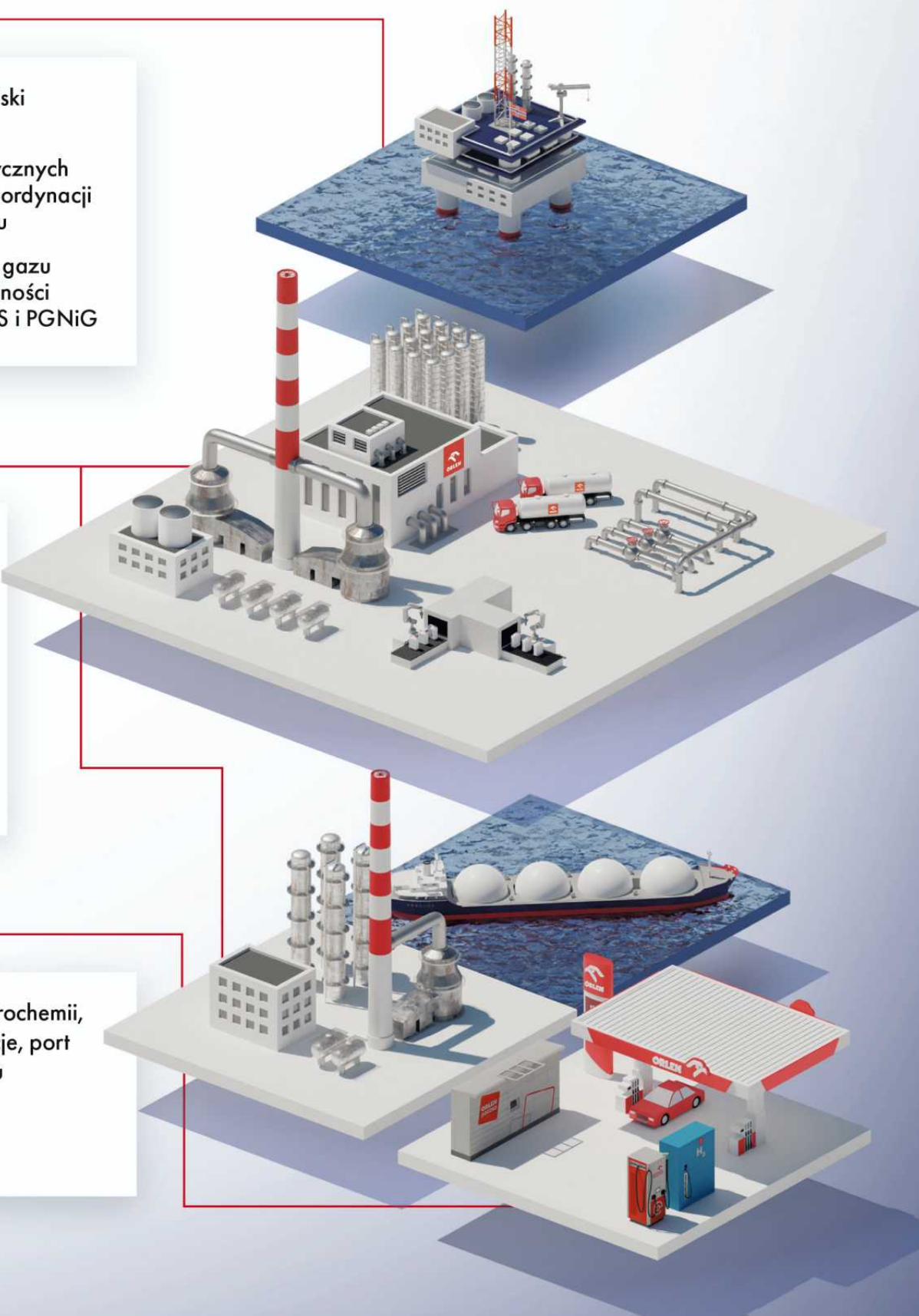
Rozwój

- Inwestycje w rozwój energetyki, petrochemii, wydobycia, a także w nowe instalacje, port na Bałtyku, blok olejowy w Gdańsku
- 1514 stacji zagranicznych w tym 337 nowych stacji w 2023 roku

Poparcie akcjonariuszy

Niemal **100%** akcjonariuszy* ORLEN i LOTOS, w tym przedstawiciele wiodących globalnych instytucji finansowych, głosujących za połączeniem. Akcjonariusze byli w transparentny sposób poinformowani o założeniach transakcji i wycenach zbywanych aktywów.

*obecnych na WZ



NIK o Orlenie

Wystawili Polskę na ryzyko

Sprzedaż majątku Lotosu po zaniżonej cenie to tylko jeden z zarzutów NIK wobec Orlenu i polityki rządu premiera Mateusza Morawieckiego. Nie mniej ważne są zarzuty dotyczące zagrożeń dla bezpieczeństwa energetycznego Polski.

Andrzej Kublik

Wczoraj NIK przedstawiła raport na temat wyników kontroli „działań w zakresie poprawy bezpieczeństwa paliwowego w sektorze naftowym”. Uwagę mediów przyciągnęły przede wszystkim ustalenia Izby dotyczące zaniżenia przez Orlen ceny sprzedaży majątku Lotosu po przejęciu tego gdańskiego rywala przez firmę kierowaną przez Daniela Obajtka.

Orlen sprzedał np. 30 proc. akcji Rafinerii Gdańskiej saudyjskiemu koncernowi Saudi Aramco za 1,1 mld zł i zdaniem Izby to była cena zaniżona o 3,5 mld zł. Saudi Aramco kupiło też hurtownie Lotosu i udziały w spółce Lotosu handlującej paliwami lotniczymi. Cały ten pakiet przejęty przez saudyjski koncern według szacunków NIK był wart 9,4 mld zł, a Saudi Aramco zapłaciło zań ok. 7 mld zł taniej.

Według NIK zapłata za biopaliwowy biznes Lotosu przejęty przez węgierską spółkę Rossi Biofuels powinna wynieść między 350 a 500 mln zł, ale – jak czytamy w raporcie – „ostateczna wartość umowy zdecydowanie nie stanowiła wartości z tego przedziału”. Nie podała, za ile Orlen sprzedał biopaliwową firmę Lotosu, a Orlen także nie ujawniał tego.

Igranie bezpieczeństwem

Jednak NIK wskazała także na ryzyka spowodowane przez zaniedbania rządu premiera Mateusza Morawieckiego i powiązane z przejęciem Lotosu przez Orlen oraz późniejszą parcelacją majątku Lotosu.

Chodzi o zaniechania w realizacji dokumentu „Polityka rządu RP dla infrastruktury logistycznej w sektorze naftowym”, który w listopadzie 2017 r. przyjął rząd premier Beaty Szydło, w ostatnich tygodniach przed objęciem stanowiska premiera przez Mate-



usza Morawieckiego. Dokument ten powstał z inicjatywy pełnomocnika rządu ds. strategicznej infrastruktury energetycznej, którym wtedy był Piotr Naimski.

Zgodnie z tym programem państwowa spółka Gaz-System miała odkupić od Orlenu podziemne magazyny ropy naftowej i paliw na Kujawach, największe takie instalacje w Polsce. Orlen nie dopuszczał do nich konkurencji, tłumacząc to m.in. własnymi potrzebami. A we wrześniu 2020 r. prace nad takimi zmianami zostały ostatecznie wstrzy-

mane, ze względu na szykowane przejęcie majątku Lotosu przez Orlen – wskazał NIK.

Program firmowany przez Naimskiego przewidywał także budowę przez państwową firmę PERN drugiej nitki rurociągu pomorskiego między Włocławkiem a Gdańskiem. Obecnie jest to jedyne połączenie, którym można dostarczać ropę naftową z tankowców do rafinerii Orlenu w Płocku. Takie ograniczenie już w przeszłości utrudniało np. dostawy do Płocka ropy naftowej różnych gatunków.

Ubędzie Pcimia z Orlenu

Zrezygnował zaufany współpracownik Obajtka

Wraz z Danielem Obajtkiem z zarządu Orlenu odejdzie wiceprezes Michał Róg (**na zdjęciu**), jeden z najbliższych i najbardziej zaufanych współpracowników Obajtka. Są dobrymi znajomymi z Pcimia.

O północy z poniedziałku na wtorek z zarządem Orlenu pożegna się nie tylko prezes Daniel Obajtek. W piątek w nocy Orlen poinformował o rezygnacji wiceprezesa Michała Roga. Przystanie pracować w tym samym czasie co Obajtek.

Ani w raporcie giełdowym, ani w komunikacie prasowym Orlen nie podał, jak Michał Róg uzasadnił swoją rezygnację.

We wtorek, 6 lutego, nadzwyczajne walne zgromadzenie akcjonariuszy Orlenu na żądanie nowego ministra aktywów państwowych Borysa Budki ma dokonać zmian w radzie nad-

zorczej koncernu. A nowa rada nadzorcza będzie mogła wymienić zarząd Orlenu, w pierwszym momencie odwołując jego dotychczasowych członków.

Prawa ręka Obajtka

Michał Róg pochodzi z Pcimia, gdzie Daniel Obajtek był wójtem przed zwycięstwem PiS w wyborach do Sejmu w 2015 r.

Gdy w lutym 2018 r. rada nadzorcza Orlenu powołała Obajtka na prezesa, już miesiąc później Michał Róg dostał posadę w zarządzie spółki Orlen Oil. A pół roku później został wiceprezesem Orlenu ds. handlu hurtowego i międzynarodowego. To znaczy, że odpowiadał za gigantycznej wartości kontrakty Orlenu na import ropy naftowej i paliw. Według komunikatu spółki odpowiadał także za ostatnie zakupy stacji benzy-



nowych na Węgrzech, Słowacji i w Austrii.

Przed objęciem tak ważnego stanowiska w zarządzie Orlenu Michał Róg przez 20 lat był menedżerem w firmie Tele-Fonika Kable, należącej do miliardera Bogusława Cupiała. Z firmy z siedzibą w Myślenicach, rodzinnym mieście Daniela Obajtka, wywodzi się wiele osób, które zajęły ważne stanowiska w Orlenie za prezesury Obajtka.

Tuż przed ostatnimi wyborami do Sejmu Orlen podpisał z Tele-Foniką umowę na zapro-

jektowanie i dostawy 340 km kabli energetycznych do morskiej farmy wiatrowej, którą do 2026 r. Orlen zamierza zbudować z kanadyjską firmą Northland Power.

– Tele-Fonika i jej spółka JDR są tylko udziałowcami konsorcjum, które ma zrealizować ten kontrakt dla spółki Orlenu. Grupa Tele-Fonika ma około 20 proc. w tym konsorcjum, a jego liderem jest duńska firma NKT – doprecyzował nam Witold Nieć, doradca zarządu Tele-Foniki ds. relacji publicznych.

Orlen ma 51 proc. akcji w spółce Baltic Power, z którą zawarto tę umowę. Drugim udziałowcem jest kanadyjska firma Northland Power.

Przed raportem NIK

W poniedziałek, czyli ostatnim dniu pracy Daniela Obajtka i Mi-

chała Roga w zarządzie Orlenu, NIK przedstawi raport na temat poprawy bezpieczeństwa paliwowego, w którym Izba ma krytycznie ocenić działalność Orlenu w tej dziedzinie.

Chodzi m.in. o zarzut sprzedaży przez Orlen majątku Lotosu po zaniżonej cenie. – Nasi kontrolerzy ustalili w sposób jednoznaczny, na podstawie dokumentów, które znaleźli w Ministerstwie Aktywów Państwowych i w Ministerstwie Klimatu i Środowiska, że zaniżenie ceny Lotosu to było prawie 5 mld zł – powiedział w piątek prezes NIK Marian Banaś w rozmowie z Justyną Dobrosz-Oracz w TVP Info.

Banaś zapowiedział też, że w związku z takimi zarzutami Izba skieruje zawiadomienia do prokuratury. ●

Andrzej Kublik

NIK o Orlenie



Ale jest też większe ryzyko. Po prostu większe uszkodzenie jednej obecnie nitki rurociągu pomorskiego może zakłócić na pewien czas funkcjonowanie rafinerii w Płocku.

A co, jeśli...

Jeszcze dwa lata temu można było liczyć, że w takim czarnym scenariuszu paliw na stacjach benzynowych nie zabraknie, bo będzie je produkować nowoczesna rafineria Lotosu w Gdańsku.

Teraz nie jest to już tak pewne. NIK podkreśliła, że Saudi Aramco, kupując udziały w Rafinerii Gdańskiej od Orlenu, dostało też prawo dysponowania połową produkcji benzyny i oleju napędowego z tego zakładu. Saudyjski koncern nie ma obowiązku sprzedawać tych paliw w Polsce i teoretycznie może je wysłać na eksport. Dlatego NIK wskazuje, że transakcja Orlenu z Saudi Aramco pozbawiła Polskę kontroli nad 20 proc. produkcji paliw w Polsce.

A gdyby saudyjski koncern zdecydował się na eksport paliw z Rafinerii Gdańskiej w razie poważnej awarii rurociągu pomorskiego? To byłby bardzo czarny scenariusz dla polskich kierowców. ●

• **Płock, 19 lipca 2022 r. Daniel Obajtek podpisuje porozumienie ze związkowcami w sprawie przejęcia przez Orlen Grupy Lotos**

FOT. TOMASZ NIEŚLUCHOWSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

NIK podkreśliła, że Saudi Aramco, kupując udziały w Rafinerii Gdańskiej od Orlenu, dostało też prawo dysponowania połową produkcji benzyny i oleju napędowego z tego zakładu

Dziś decyzje

Rząd wyśle do nadzorowania Orlenu polityków rządowej koalicji i kontrolerów

Były wiceszef ABW, dyrektorka z NIK, znany polityk SLD, osoby związane z Polską 2050 Szymona Hołowni i PSL – to kandydaci Ministerstwa Aktów Państwowych do wymienianej rady nadzorczej Orlenu. To ona zdecyduje, kto w zarządzie koncernu zastąpi drużynę Daniela Obajtka.

Dziś na nadzwyczajnym walnym zgromadzeniu akcjonariusze Orlenu mają dokonać zmian w radzie nadzorczej spółki. Faktycznie chodzi o wymianę co najmniej ośmiu z dziewięciu obecnych członków rady wybranych jeszcze przez rząd PiS Mateusza Morawieckiego.

Obecnie przewodniczącym rady nadzorczej Orlenu jest Wojciech Jasiński, wpływowy polityk PiS. W rządzie PiS za czasów premier Beaty Szydło był on prezesem Orlenu. Ale gdy premierem został Mateusz Morawiecki, niespodziewanie Jasiński został odwołany, a jego miejsce zajął Daniel Obajtek. Równie niespodziewanie dwa lata później Wojciech Jasiński wrócił do Orlenu, ale już tylko do rady nadzorczej, a nie zarządu koncernu.

Rozstrzygający głos w tych zmianach należy do Ministerstwa Aktywów Państwowych, które zarządza prawie 50 proc. akcji Orlenu należącymi do państwa. Rada nadzorcza w nowych składzie zajmie się wymianą zarządu Orlenu. Dotychczasowy prezes Orlenu Daniel Obajtek i jego prawa ręka wiceprezes Michał Róg już o północy z poniedziałku na wtorek zakończą urzędowanie w Orlenie.

Wybrańcy Borysa Budki

Ministerstwo Aktywów Państwowych, którym w rządzie premiera Donalda Tuska kieruje Borys Budka, ogłosiło listę swoich kandydatów do rady nadzorczej Orlenu. Tak jak w przypadku kilku innych publicznych spółek, których dominującym akcjonariuszem jest skarby państwa, kandydaci resortu aktywów państwowych odzwierciedlają koalicyjny skład rządu Tuska.

Wśród osób desygnowanych na nowych członków rady nadzorczej Orlenu jest Tomasz Sójka, prawnik, specjalista prawa cywilnego, a od 2021 r. koordynator Polski 2050 Szymona Hołowni w województwie wielkopolskim.

Ekonomistka Ewa Gąsiorek jest zastępczynią dyrektora w jednym z departamentów Urzędu Marszałkowskiego Województwa Mazowieckiego. Od początku tego stulecia marszałkiem tego województwa jest Adam Struzik, wpływy polityk PSL. To sugeruje wsparcie ludowców dla kandydatury Ewy Gąsiorek.

Kandydatem politycznej wagi ciężkiej jest Ireneusz Sitarski związany ze środowiskiem stowarzyszenia Ordynacka skupiającego działaczy ZSP z czasów PRL. Obecnie przewodniczącym stowarzyszenia Ordynacka jest Dariusz Wieczorek, który w rządzie Donalda Tuska został ministrem nauki. Jed-

nym z liderów i byłym przewodniczącym stowarzyszenia Ordynacka jest Włodzimierz Czarzasty, obecnie wicemarszałek Sejmu i lider Nowej Lewicy powstałej z przekształcenia SLD. Właśnie z rekomendacji SLD w 2019 r. Sitarski kandydował, bez powodzenia, do Parlamentu Europejskiego, a potem do Sejmu.

Ireneusz Sitarski pracował w kancelarii prezydenta Wojciecha Jaruzelskiego. Był wiceministrem przekształceń własnościowych w rządach SLD-PSL Waldemara Pawlaka i Józefa Oleksego. A w rządzie SLD-PSL premiera Leszka Millera był wiceministrem skarbu. W obu przypadkach pracował w resortach, którymi kierował Wiesław Kaczmarek, także związany ze środowiskiem stowarzyszenia Ordynacka.

Jako wiceminister skarbu Ireneusz Sitarski nadzorował strategiczne spółki skarbu państwa, m.in. PKN Orlen i PGNiG. W tym czasie prezesem Orlenu został Zbigniew Wróbel, również związany ze środowiskiem stowarzyszenia Ordynacka. Z prezesury w Orlenie Wróbel zrezygnował w okresie prac tzw. orlenowskiej komisji śledczej w Sejmie.

Niedawno niespodziewanie Zbigniew Wróbel dostał fotel w radzie nadzorczej firmy Lotos Norge po przejściu majątku Lotosu przez Orlen.

W radzie Orlenu znów wiceszef ABW

Do rady nadzorczej Orlenu resort ministra Borysa Budki zgłosił też Katarzynę Łobos, wicedyrektorkę departamentu prawnego i orzecznictwa NIK.

Kolejnym kandydatem jest Kazimierz Mordaszewski, który po utworzeniu nowego rządu został dyrektorem departamentu bezpieczeństwa i zarządzania kryzysowego w Ministerstwie Aktywów Państwowych.

Mordaszewski to pułkownik cywilnych służb specjalnych. W PRL był działaczem opozycji, a potem znalazł się w grupie opozycjonistów zaangażowanych w tworzenie nowych struktur bezpieczeństwa III RP. W 1990 r. został dyrektorem jednego z biur w tworzonej wtedy Urzędzie Ochrony Państwa. Za rządów AWS przeszedł do dyplomacji i był szefem polskiej placówki dyplomatycznej w Abu Zabi, a jednocześnie charge d'affaires w Katarze. Od 2002 r. prowadził kancelarię prawniczą w Warszawie, wyrzucony ze służb po likwidacji UOP podczas reorganizacji cywilnych służb specjalnych przez rząd SLD-PSL Leszka Millera. Kancelaria Mordaszewskiego broniła wtedy wyrzuconych funkcjonariuszy UOP.

Do służb specjalnych Mordaszewski wrócił w 2006 r., czyli za rządów PiS-LPR-Samoobrona. Przez sześć lat kierował biurem prawnym ABW, a w listopadzie 2012 r. został zastępcą ówczesnego szefa ABW gen. Krzysztofa Bon-

daryka. To stanowisko zajmował do utworzenia rządu przez PiS pod koniec 2015 r.

Kazimierz Mordaszewski będzie drugim byłym wiceszefem ABW, który zasiądzie w radzie nadzorczej Orlenu. W maju 2012 r. do rady nadzorczej Orlenu powołany był płk Paweł Białek, który za rządów PO-PSL od grudnia 2007 r. do kwietnia 2012 r. był zastępcą szefa ABW. Po odejściu z Agencji został doradcą ówczesnego ministra skarbu Mikołaja Budzanowskiego.

Nie koniec zmian

Na członków rady nadzorczej Orlenu Ministerstwo Aktywów Państwowych desygnowało również Mikołaja Pietrzaka, dziekana Okręgowej Rady Adwokackiej w Warszawie znanej z obrony praw obywatelskich za rządów PiS.

Kolejnym prawnikiem zgłoszonym do rady nadzorczej Orlenu jest adwokat Michał Gajdus, który od końca zeszłego roku pracuje w kancelarii DLA Piper, a wcześniej pracował w kancelarii Allen & Overy. W ostatnich latach Gajdus był obrońcą sędziów przed zarzutami rzeczników dyscyplinarnych z nominacji Zbigniewa Ziobry, ministra sprawiedliwości w rządzie PiS.

Ministerstwo Aktywów Państwowych do rady nadzorczej Orlenu zgłosiło również kandydaturę Tomasza Zielińskiego, który od 2013 r. jest prezesem Polskiej Izby Przemysłu Chemicznego. W latach 2004-06 Zieliński pracował na kierowniczych stanowiskach w Orlenie, a w latach 2010-13 – w zarządzie Anwilu, chemicznej spółki Orlenu.

Na liście kandydatów jest również Wojciech Popiołek, profesor prawa z Uniwersytetu Śląskiego w Katowicach. Prof. Popiołek już od końca stycznia zasiada w radzie nadzorczej Orlenu, ale jako nominat ministra Borysa Budki. Bo zgodnie ze statutem Orlenu minister aktywów państwowych może mianować swojego przedstawiciela do rady nadzorczej tej spółki. Jeśli teraz prof. Popiołek zostanie wybrany do rady nadzorczej Orlenu głosami akcjonariuszy, to minister Budka będzie mógł mianować do niej inną osobę jako swojego przedstawiciela.

Swojego kandydata do rady nadzorczej Orlenu zgłosiło jeszcze Nationale-Nederlanden OFE, który jest drugim co do wielkości po skarbie państwa akcjonariuszem tego koncernu (ma 5,4 proc. akcji Orlenu). Tym kandydatem jest Jan Woźniak ze Stowarzyszenia Niezależnych Członków Rad Nadzorczych. W latach 1994-2004 pracował w Citibanku Poland i Banku Handlowym, a potem do 2008 r. zasiadał w zarządzie polskiej filii banku HSBC. W 2009 r. założył spółkę DSW AFM zajmującą się doradztwem finansowym i inwestycjami private equity. Obecnie jest przewodniczącym rady nadzorczej spółki Sanok Rubber, zasiada też w radach nadzorczych spółek Ferro i Mennica Polska. ●

Andrzej Kublik

Dworczyk o kopertowych

Michał Dworczyk zeznawał przed komisją śledczą ds. wyborów kopertowych. To on jako szef kancelarii premiera rekomendował Mateuszowi Morawieckiemu podpis pod decyzją zlecającą przygotowania Poczcie Polskiej i Polskiej Wytwórni Papierów Wartościowych.

Iwona Szpala, Agata Kondzińska

Dworczyk, człowiek z najbliższego otoczenia premiera, był jednym z urzędników kancelarii zaangażowanych w przygotowanie wyborów kopertowych. Za ich przebieg miała odpowiadać Poczta Polska, za druk pakietów wyborczych – Polska Wytwórnia Papierów Wartościowych. Obie spółki wskazał w decyzji Morawiecki, kwit podpisał 16 kwietnia 2020 r., umieścił klauzulę o natychmiastowej wykonalności. Głosowanie miało się odbyć 10 maja.

To właśnie do szefa kancelarii pisał wiceminister aktywów państwowych Artur Soboń. To wcześniejszy świadek komisji i autor maila, którego upublicznił serwis Poupna Rozmowa przy okazji tzw. afery Dworczyka – czyli wycieku danych z jego prywatnej poczty.

30 kwietnia 2020 r. Soboń przestrzegł Dworczyka, czym grozi pomysł wyborów kopertowych. Pisał m.in., że z powodów technicznych druga tura nie będzie mogła się odbyć w konstytucyjnym terminie 14 dni, że przygotowanie takich wyborów to „partyzantka”, bałagan, zagrożenie fałszerstwami. Zwracał uwagę, że „niemal co trzecie gospodarstwo domowe nie ma skrzynki pocztowej”, więc pakiety będą lądowały w błocie, a doręczenie ich wszystkich we właściwe miejsce po prostu nie będzie możliwe. Wspominał też o wysokich kosztach.

Szef komisji Dariusz Joński zaczął przesłuchanie od maila. Michał Dworczyk stwierdził, że to informacja pochodząca z ataku hakerskiego z Rosji i Białorusi. Mała od Sobonia sobie nie przypomina, nie może potwierdzić ani wykluczyć jego prawdziwości.

Bezpieczny premier

Potem posłowie pytali o kulisy przygotowania decyzji z 16 kwietnia, za którymi poszły wielomilionowe wydatki Poczty i PWPW. Próbowali ustalić, kto odpowiada za ponad 70 mln zł wydanych z publicznej kasy. Michał Dworczyk przekonywał, że premier nie zlecał spółkom żadnych wydatków, lecz jedynie „przygotowania”. Mówił, że Morawiecki „nikogo nie zobowiązywał do tego, kto ile ma wydać pieniędzy”. I wskazał na dwóch ministrów, którym podlegały zaangażowane w projekt wyborów spółki. Poczcie nadzorował minister aktywów państwowych Jacek Sasin, zaś PWPW Mariusz Kamiński, szef MSWiA. Żaden z nich nie podpisał umów ze spółkami, które mimo to pompowały pieniądze.

– Dlaczego umów nie było? – pytał poseł.

– To pytanie do panów ministrów. Mogę mówić o faktach, a byłem zaangażowany w sprawę między 8 a 16 kwietnia, czyli dnia podpisania decyzji o przygotowaniach do wyborów.



• **Michał Dworczyk, były szef kancelarii premiera Mateusza Morawieckiego, zeznawał wczoraj przed komisją śledczą ds. wyborów kopertowych** FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Posłowie Joński i Karnowski dopytywali też o opinie prawne, którymi dysponowała kancelaria premiera przed 16 kwietnia 2020 r. Joński cytował krytyczne opinie Prokuratury Generalnej i biura prawnego KPRM m.in. o tym, że „brak podstaw do wydania decyzji administracyjnej” zlecającej przeprowadzenie wyborów Poczcie Polskiej na podstawie przepisów specustawy covidowej, z której skorzystał Morawiecki. W piśmie jest ostrzeżenie przed odpowiedzialnością karną i cywilną dla premiera.

Jak wyjaśnił Dworczyk, krytyka dotyczyła projektu decyzji o wyborach korespondencyjnych, którą przysłał resort Sasina. I opowiedział, co działo się dalej. Krytykowany przez prawników zapis o zleceniu przeprowadzenia wyborów zmieniono na „przygotowania” wyborów. I dzięki temu według Dworczyka premier był już bezpieczny. Jako szef kancelarii pozbierał „opinie ustne” od dwóch spółek. Jacek Karnowski mówił, że i tak zostały wydane konkretne pieniądze. I skoro umów nie było, to jak wydawała pieniądze Poczta Polska? Dopytywał Dworczyka, czy spółka naruszyła dyscyplinę finansową. Świadek nie chciał tego komentować, przyznał, że część decyzji była wydawana ustnie, ale urzędnikom państwowym przyszło pełnić funkcję w czasach „dramatycznych i ekstreordynaryjnych”.

I tym sposobem 16 kwietnia z kancelarii premiera wyszły polecenia do dwóch spółek. Jacek Karnowski mówił, że i tak zostały wydane konkretne pieniądze. I skoro umów nie było, to jak wydawała pieniądze Poczta Polska? Dopytywał Dworczyka, czy spółka naruszyła dyscyplinę finansową. Świadek nie chciał tego komentować, przyznał, że część decyzji była wydawana ustnie, ale urzędnikom państwowym przyszło pełnić funkcję w czasach „dramatycznych i ekstreordynaryjnych”.

Buda o „kluczowym dokumencie”

Karnowski ponownie zapytał o upoważnienia obu spółek do wydawania pieniędzy. – Nie namówi mnie pan na oceny i opinie. Mogę mówić o faktach. Proszę nie oczekiwać, że będę komentował

działania innych agend administracji państwowej – odpowiedział Dworczyk.

Waldemar Buda z PiS stwierdził, że komisja śledcza jest już w posiadaniu „kluczowego dokumentu” – postanowienia wydziału karnego Sądu Rejonowego dla Warszawy-Śródmieścia z końcówki listopada 2023 r. Do tego sądu zażalenie złożyła NIK. Po krytycznym raporcie, w którym inspektorzy dowodzili, że wydano pieniądze bez podstawy prawnej, Izba zawiadomiła prokuraturę. W końcu grudnia 2021 r. zapadła decyzja o odmowie wszczęcia śledztwa. Śródmiejski sąd nie uwzględnił zażalenia NIK.

Posel Buda podczas przesłuchania cytował fragmenty uzasadnienia o tym, że urzędnicy państwowi działali w granicach prawa. – Sąd uznał, że mieli podstawę, by realnie zakładać, że wybory odbędą się w trybie korespondencyjnym – czytał Buda. I zapytał Dworczyka o „charakter przygotowawczy”, czyli zapis, który znalazł się w decyzji premiera z 16 kwietnia.

– W sytuacji pandemii były różne koncepcje, jak działać. Trudno mi się pogodzić z opiniami, że nie tylko PiS, ale i urzędnicy robili tak, by łamać prawo. Narazić życie i zdrowie obywateli. Tak nie było – zapewniał były szef kancelarii premiera. I apelował: „Zbadajmy okoliczności, a nie twórzmy teatru”.

„Weszła polityka”

Waldemar Buda pytał, czy ekipa rządząca miała przeświadczenie, że przeprowadzenie wyborów w konstytucyjnym terminie było jej obowiązkiem. Dworczyk potwierdził. I dodał: – Były wtedy gorzkie żarty, że w tamtej sytuacji niezależnie, co byśmy zrobili, ówczesna opozycja to wykorzystala.

Uważa, że gdyby nie było wówczas przygotowań, dziś siedziałby przed komisją i tłumaczył się z zaniechania. – Więc

Michał Dworczyk przekonywał, że premier nie zlecał spółkom żadnych wydatków, lecz jedynie „przygotowania”. Mówił, że Morawiecki „nikogo nie zobowiązywał do tego, kto ile ma wydać pieniędzy”

cokolwiek by się zrobiło, będzie złe. Mam nadzieję, że na jakimś etapie będziemy umieli zrobić krok w tył. I ostudzić emocje – mówił Dworczyk.

Buda chciał wiedzieć, dlaczego wyborów korespondencyjnych nie było. Michał Dworczyk obwiniał Senat, w którym większość miała demokratyczna opozycja. Opowiadał o politycznych decyzjach, które w jego opinii musiały zapaść na opozycji. To właśnie po nich Senat zdecydował, że na prace nad ustawą, którą dostał z Sejmu, poświęci miesiąc. – By wykorzystać maksymalne terminy procedowania – mówił. – Zakładaliśmy, że ustawa będzie uchwalona, tym bardziej że chwilę wcześniej przeszła przez Sejm ustawa o głosowaniu korespondencyjnym dla osób po 60. roku życia i w izolacji. Jako rząd mogliśmy antycypować, że podobnie będzie z kolejnym projektem. Ale weszła polityka – stwierdził Dworczyk.

I mówił, że chodziło o kandydatkę KO na prezydenta Małgorzatę Kidawę-Błońską. – Miała fatalny rating, trzeba było zrobić wszystko, by wymienić kandydata.

Dodał, że nie wie, czy tak faktycznie było. Tu trzeba pytać u źródła. Waldemar Buda wtrącił, że cały czas posłowie z PiS próbują sprawić, by komisja dołączyła do listy świadków m.in. Małgorzatę Kidawę-Błońską. Na razie bez skutku. ●

Pieczętkami w reformę Czarnka

Naczelna Rada Lekarska uchwaliła, że od 1 czerwca lekarze będą mogli umieszczać na swoich pieczętkach informację o tym, na jakiej uczelni ukończyli medycynę. To ma być nowy oręż w walce z otwieraniem studiów lekarskich na coraz to nowych uczelniach.

Judyta Watoła

Wiosną ubiegłego roku minister edukacji i nauki Przemysław Czarnek po raz kolejny złagodził wymagania dla uczelni, które chcą otworzyć kierunek lekarski. W efekcie, o ile dotąd przebywało ich kilka w roku, o tyle teraz aż kilkanaście. Stało się tak mimo tego, że większość nowo otwieranych kierunków otrzymała negatywną opinię Polskiej Komisji Akredytacyjnej. Kiedy zaprotestowało Porozumienie Rezydentów i Naczelna Izba Lekarska, Czarnek był oburzony. Stwierdził, że bezcelność lekarzy „nie zna granic”. – Powinni skupić się na tym, jak zrobić, żeby pacjenci w Polsce mieli w najbliższej przyszłości dostęp do lekarza, a nie węszyć – grzmiał na inauguracji roku akademickiego w Akademii Kaliskiej, która też otworzyła jesienią medycynę mimo braku pozytywnej opinii PKA.

50 tys. zł za semestr na uczelni bez zaplecza
Nowe studia są drogie. Na niektórych uczelniach trzeba płacić po-

nad 50 tys. zł za semestr, choć brakuje im odpowiedniego zaplecza. Najslabiej wypada nauka anatomii, bo większość studentów na nowo otwartych kierunkach albo nie ma w ogóle zajęć w prosektorium, albo są tylko prosektoria szpitalne, w których nie ma możliwości samodzielnej pracy z preparatami pobranymi ze zwłok.

NIL powtarza, że absolwenci takich studiów będą źle przygotowani do zawodu. Powtarza też, że to oszukiwanie młodych ludzi. Na razie nic to jednak nie dało. – Wiemy, że przed wyborami samorządowymi temat jakości kształcenia nie będzie przez rząd podnoszony – słyszemy w izbie. Prawdopodobnie nie będzie tak i po wyborach. Minister zdrowia Izabela Leszczyna jest z Częstochowy, gdzie na Uniwersytecie Jana Długosza także otwarto niedawno medycynę (opinia PKA była pozytywna). Z Częstochowy jest też wiceminister Wojciech Koniczny z Lewicy, który w poprzedniej kadencji sam głosował w senacie za poluzowaniem wymogów dla uczelni. Obydwoje deklarują

poparcie dla nauczania medycyny na UJD. Dlatego, choć nowy minister Dariusz Wiczorek zadeklarował, że w najbliższych tygodniach PKA rozpocznie weryfikację niedawno powołanych kierunków lekarskich, nie ma się co spodziewać ich zamykania.

Samorząd lekarski nie pozwala jednak, by o problemie zapomniano. 26 stycznia wspólnie z Konferencją Rektorów Akademickich Uczelni Medycznych (KRAUM) wydał stanowisko, w którym przypomniano, że „priorytetem kształcenia lekarzy w Polsce musi być troska o zachowanie wysokiej jakości kształcenia” a „inny punkt widzenia, w którym w większym stopniu liczy się liczba kształcących się, a nie jakość kształcenia, jest niemożliwy do zaakceptowania”, ponieważ „od poziomu kształcenia lekarzy zależy bezpieczeństwo pacjentów i jakość całego systemu opieki zdrowotnej w Polsce”. „Dla przywrócenia właściwej jakości kształcenia lekarzy oczekuje się wprowadzenia zmian w prawie, które będą zmierzały do zamknięcia kierunków lekarskich niespełniających wymogów” – podkreślono w stanowisku. Rektorzy skupieni w KRAUM już wcześniej zadeklarowali, że są gotowi przyjąć studentów z innych uczelni na swoje uczelnie.

Taki termin nie istnieje
Naczelna Rada Lekarska przyjęła też uchwałę o pieczętkach i od

1 czerwca będzie można na nich zamieszczać dodatkowe informacje, w tym nazwę uczelni, którą ukończył lekarz. Oficjalnie uchwała nie ma nic wspólnego ze sprawą nowych kierunków lekarskich. – Trzeba z pieczętkami zrobić porządek, bo niektórzy mają na nich napisane „lekarz medycyny”, a taki termin nie istnieje. Mamy w przepisach tylko „lekarza” lub „lekarza dentystę” – wyjaśnia Jakub Kosikowski, rzecznik NIL. Chodziło też o to, by w nowej uchwale uwzględnić zmiany, jakie zaszyły od ostatniej, sprzed prawie 20 lat.

zwisko, tytuł zawodowy „lekarz” albo „lekarz dentysta” zapisany skrótami: „lek.” albo „lek. dent.”, oraz numer prawa wykonywania zawodu. Zniknie obowiązek podawania posiadanych specjalizacji.

Kto będzie chciał, ten może umieścić na pieczętce lub nadrukach generowanych przez system komputerowy posiadany tytuł i stopień naukowy, posiadane specjalizacje i umiejętności zawodowe (np. umiejętność wykonywania USG) zgodnie z brzmieniem określonym na dyplomie, nazwę uczelni i kierunku, na którym lekarz lub lekarz dentysta uzyskał dyplom, numer telefonu wraz z prefiksem międzynarodowym, miejsce zamieszkania i adres poczty elektronicznej.

Jeśli ktoś ma pieczętkę niezgodną ze wzorem z uchwały, będzie ją musiał wymienić do końca 2024 r. Pieczętkami według nowego wzoru lekarze będą mogli się posługiwać od 1 czerwca.

W uzasadnieniu do uchwały nie ma ani słowa o słabym nauczaniu na nowo otwartych kierunkach lekarskich. W środowisku jest jednak jasne, że nawet jeśli nie był to jedy-ny powód przyjęcia nowej uchwały o pieczętkach, to przynajmniej jeden z ważniejszych. – Chcemy zmobilizować resort do podjęcia tematu, bo – choć mieliśmy okazję rozmawiać o tym z minister Leszczyną – to na razie zaległa cisza – słyszemy w NIL. ●

■
Jeśli ktoś ma pieczętkę niezgodną z wzorem ze uchwały, będzie ją musiał wymienić do końca 2024 r.

Na recepcie czy skierowaniu lekarz nie musi już przybijać pieczętki, bo pojawiły się e-recepty i e-skierowania. Uchwała precyzuje więc, że „pieczętka lekarska lub nadruk wykonywany z systemu komputerowego” będą musiały zawierać imię lub imiona i na-

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

34300997

WSPRZEDAŻY

TEMAT NUMERU

Zdrada – jest po niej życie

KATE WINSLET

Nie ma znaczenia, co myślą inni

RELACJE

Rozstania w związkach z długim stażem

PSYCHOLOGIA

Trzeźwość daje godność



PREZENT DO WYBORU

baza pod makijaż BIELEND lub serum do pielęgnacji intymnej YOPE

Uczelnie wybierają rektorów. Głównie spośród mężczyzn

Rektorek pewnie nie przybędzie, ale kandydaci na rektorów będą się chwalić tym, że mają kobiety w swoich zespołach.

Alicja Gardulska

Na uczelniach publicznych trwa rok wyborczy. Ponad sto szkół wyższych wybiera rektorów na kolejną, czteroletnią kadencję. Głosują elektorzy, czyli przedstawiciele pracowników, doktorantów i studentów. Każda uczelnia ma własny kalendarz wyborczy. Wiele pojedynków rozstrzygnie się wiosną.

Już widać, że kampania może być gorąca. Z uniwersytetów Warszawskiego i Wrocławskiego dochodzą głosy o możliwych nieprawidłowościach przy wybieraniu studenckich elektorów. Na UW przed drzwiami sali, w której zebrał się w tej sprawie samorząd studencki, rektor postawił umundurowanego pułkownika w stanie spoczynku. Z kolei jeden z kandydatów na rektora Uniwersytetu Medycznego w Poznaniu apeluje do naukowców, by „nie ulegali sugestiom zniechęcającym do kandydowania na elektorów”.

„Będzie bardzo gorąco, pewnie bardzo brudno, i tym samym ciekawie” – mówił „Wyborczej” o zbliżającej się kampanii na Uniwersytecie Łódzkim jeden z tamtejszych profesorów.

W jakim stopniu w tych wyborczych rozgrywkach na uczelniach wezmą udział kobiety? W stawce, którą znamy, prawie ich nie ma. Już wiadomo, że władzę zachował rektor Uniwersytetu Gdańskiego – prof. Piotr Stepnowski nie miał konkurencji. Podobnie jak prof. Piotr Ponikowski – ponownie wybrany na rektora Uniwersytetu Medycznego we Wrocławiu. Szefów mają już też akademie wychowania fizycznego w Gdańsku i Katowicach. Jedyna jak dotąd rektorka została wybrana w Państwowej Akademii Nauk Stosowanych w Jarosławiu. Dr Beata Rejman na stanowisku zastąpiła męża, który był rektorem przez dwie kadencje.

Męskie pojedynki szykują się na Uniwersytecie Mikołaja Kopernika w Toruniu (dwóch kandydatów), Uniwersytecie Kazimierza Wielkiego w Bydgoszczy (trzech) i Uniwersytecie Wrocławskim (trzech). O reelekcję będą się ubiegali rektorzy Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej w Lublinie i Katolickiego Uniwersytetu Lubelskiego. Jeszcze nie wiadomo, czy będą mieli kontrkandydatów.

Wiadomo za to, że o reelekcję zaważają dwie rektorki uniwersytetów, których wybór w poprzedniej kadencji okrzyknięto przełomowym.

Uniwersytet jest męczyzną?

– Zmiana idzie bardzo, bardzo powoli. Ale wszyscy mają dziś świadomość, że nie wypada już zamykać



• Minister nauki i szkolnictwa wyższego Dariusz Wiczorek i rektor UAM prof. Bogumiła Kaniewska, Poznań, 13 grudnia 2023 r. FOT. PIOTR SKÓRNICI / AGENCJA WYBORCZA.PL

się w męskim świecie – mówi prof. Bogumiła Kaniewska, rektorka Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Jest pierwszą kobietą na tym stanowisku w historii uczelni. Ale też pierwszą, która odważyła się o nie zawalczyć. Właśnie ogłosiła, że będzie się ubiegać o reelekcję.

Jej wybór w 2020 roku był wydarzeniem. Wszystko przez statystyki, które pod względem kobiet we władzach uczelni wypadają całkiem blado. Prof. Kaniewska została bowiem trzecią rektorką uniwersytetu klasycznego w Polsce. Miesiąc później do tego grona dołączyła prof. Elżbieta Żądzińska, pierwsza rektorka w 75-letniej historii Uniwersytetu Łódzkiego. – Myślę, że przebiłam szklany sufit – mówiła.

„Profil osoby pełniącej funkcję rektorską od ponad trzydziestu lat pozostaje niezmienny” – pisała wówczas dr Anna Pokorska, socjolożka z Uniwersytetu Mikołaja Kopernika w Toruniu. Wybór rektorek dwóch uniwersytetów nie zmienił status quo – rektor to wciąż mężczyzna po 55. roku życia. Z jej analiz wynikało, że między rokiem 1990 a 2019 na publicznych uczelniach, które nie są uniwersytetami, zaledwie jedna na 25 kadencji rektorskich sprawowana była przez kobietę. W przypadku uniwersytetów – jedna na 45 kadencji.

– Na polskich uniwersytetach rektor, bardziej niż funkcją, jest symbolem pewnej tradycji i zakorzenionych w niej społecznych norm obowiązujących w uniwersytecie, które realnie nigdy nie były neutralne płciowo – mówiła „Wyborczej” badaczka.

W sumie stery na uczelniach akademickich objęło 14 kobiet, kolejne osiem wygrało wybory na uczelniach wywodowych. Większość debiutowała w tej roli.

Ale poprzednie rozdanie w ogóle było wyjątkowe. Nowi rektorzy byli statystycznie nieco młodszy – (ustawa z 2018 roku obniżyła maksymalny wiek kandydata na rektora na 67 lat,

teraz znów jest 70). Sporo wśród nich debutantów – na uczelniach akademickich w sumie 60 osób. Wybory były też nietypowe, bo pandemiczne. Niektóre przeprowadzono zdalnie, inne w formie tradycyjnych głosowań, ale czasem w niezwykłych miejscach. Np. rektora Uniwersytetu Wrocławskiego wybrano na Stadionie Miejskim, gdzie można było bezpiecznie rozsadzić elektorów.

Niektórzy socjologowie zastanawiali się wówczas, czy większy odsetek kobiet na stanowisku rektora nie jest reakcją na trudne czasy. Szefowie uczelni zmagali się nie tylko z nauczaniem w czasie pandemii, ale też nowymi zadaniami, które nałożyła na nich tzw. reforma Gowi-
na, m.in. zwiększoną rywalizację.

Nowy trend w kampanii

Według prof. Kaniewskiej nie ma co liczyć na wysyp kandydatek w trwających właśnie wyborach, ale wyraźnym trendem w kampanii będzie podkreślanie, że zamierza się mieć je w zespołach rektorskich. Bo inaczej już zwyczajnie nie wypada. – Bywało i nadal bywa, że uczelnie są rządzone przez jednolicie męską ekipę. Ale to się zmienia. Rektorzy coraz częściej dbają o to, by mieć w swoich zespołach prorektorki – mówi rektorka UAM.

To o tyle ważne, że awans w uczelnianym świecie jest powolny i schodkowy.

Rektorami zostają przecież literaturoznawcy, politolodzy czy biologowie – rzadko miewają przygotowanie menedżerskie. Doświadczenie zarządzania ludźmi, zdobyte na stanowisku dziekana czy prorektora, może ośmielić do ubiegania się o fotel rektora.

– Zmiany widać na każdym polu, kobiety sięgają po najwyższe stanowiska w państwie i coraz częściej to one kierują projektami, a nie tylko wykonują zadania. To się wzięło trochę z pospolitego ruszenia kobiet w sprzeczcie wobec zaostreżenia

Na polskich uniwersytetach rektor, bardziej niż funkcją, jest symbolem pewnej tradycji i zakorzenionych w niej społecznych norm obowiązujących w uniwersytecie, które realnie nigdy nie były neutralne płciowo

DR ANNA POKORSKA
socjolożka z UMK

prawa aborcyjnego. Kobiety zaczęły mówić o tym, co jest dla nich ważne, i działać – mówi prof. Ewa Łojkowska z Uniwersytetu Gdańskiego, przewodnicząca Komitetu Biotechnologii PAN i prezeska Klubu Kobiet Uczelni Fahrenheit. – To wpływa także na to, co się dzieje na uczelniach. Chociaż znacząco pomogły także unijne regulacje – dodaje. Komisja Europejska nałożyła na uczelnie obowiązek tworzenia planów równości płci.

Z różnych badań wiadomo, że istnieje wiele czynników, które blokują rozwój kobiet w nauce. To na nie spadają obowiązki rodzicielskie i opiekuńcze. Są przeciążone pracami administracyjnymi i zajęciami, których nie chcą ich koledzy. Właściwie na każdym etapie kariery muszą się wpasować w męski porządek. Nawet w statystykach widać, jak wyhamowują ich kariery. Wśród doktorantów połowa to kobiety, kobiet z habilitacją jest 40 proc. Ale już profesorów belwederskich (to tytuł nadawany przez prezydenta doktorom habilitowanym ze szczególnymi osiągnięciami) mamy tylko 23 proc.

Unijne regulacje zmusiły uczelnie do przeprowadzenia audytów, dyskusji i wprowadzenia zmian.

Szkoły mogły zobaczyć, jak to wygląda na ich podwórku.

Badaczki zarabiają mniej niż badacze

– Statystyki wyraźnie pokazują, że to kobiety częściej niż mężczyźni korzystają z urlopów związanych z opieką nad dzieckiem. Częściej też w większym stopniu są obciążone domowymi obowiązkami – mówi prof. Katarzyna Ćwirynka z Katedry Pedagogiki Specjalnej i Resocjalizacji Uniwersytetu Warmińsko-Mazurskiego w Olsztynie, jedna z autorek uczelnianej diagnozy. – Wyjazd na trzymiesięczny staż na inną uczelnię, który może być warunkiem awansu, zdaje się zupełnie innym wyzwaniem dla matki i dla ojca dziecka, szczególnie jeśli jest to małe dziecko lub dziecko z niepełnosprawnością – dodaje.

Z diagnozy, którą w 2019 roku przeprowadził Uniwersytet Gdański, wynikało m.in., że badaczki składają więcej wniosków o granty niż badacze, częściej też je zdobywają, chętniej uczestniczą w kursach doszkolających. Zarabiała za to mniej niż ich koledzy na tych samych stanowiskach.

– Wcale nie jest tak, że kobiety chcą uprzywilejowania czy ułatwień w dostępie do awansu czy grantów. Te, z którymi rozmawialiśmy w trakcie badań, były ambitne, pracowały naukowo, dokształcały się i publikowały – mówi prof. Ćwirynka.

– Problem leży w tym, że ścieżka rozwoju kariery kobiety może się okazać znacznie krótsza, bo przerywana okresami urlopów macierzyńskich, wychowawczych i wreszcie skrócona poprzez wcześniejsze wchodzenie w wiek emerytalny. A przecież wiele osób na najwyższych stanowiskach jest po 50. roku życia – dodaje.

W uczelniane plany równości płci nie wpisuje się parytetów. Pojawiają się w nich raczej zapisy o promowaniu zrównoważonego udziału kobiet i mężczyzn w różnych decyzyjnych gremiach, tj. komitetach naukowych, zespołach badawczych czy komisjach eksperckich. Pilnuje się np., by kobiety nie tylko organizowały konferencje naukowe, ale też brały w niej udział jako prelegentki. Zmiany powoli zachodzą też w języku uczelnianych dokumentów, gdzie jeszcze nieśmiało, ale pojawiają się feminatywy.

Niektóre uczelnie, jak np. Uniwersytet Gdański, wprowadziły szkolenia z umiejętności przywódczych. – Trzeba uświadamiać kobiety, że się nadają do pełnienia funkcji kierowniczych, wydobywać ich potencjał – mówi prof. Łojkowska. – Bycie rektorem to zarządzanie skomplikowaną organizacją, która nierzadko jest największym pracodawcą w regionie. Mężczyznom z reguły łatwiej przychodzi decyzja o podjęciu się takiej odpowiedzialności. Kobieta będzie się zastanawiała i wahała, czy na pewno ma odpowiednie kwalifikacje, nawet jeśli je ma. A w tyle głowy zawsze będzie się odzywać jeszcze rodzinna logistyka i pytanie, czy podola obowiązkom zawodowym i rodzinnym – dodaje. ●



Nie ma wolności bez solidarności
Masz temat dla reporterek i reporterów „Wyborczej”?
Chcesz się podzielić swoją opinią, historią?
Pisz: listy@wyborcza.pl

Oportunistycznie i cynicznie

Najbardziej cenimy sobie drogę na skróty

Marek Wystański

Oglądałem 30 stycznia w TV Republika rozmowę z Danielem Obajtkiem. Pominę tutaj „prowadzenie prowadzącej”, które jako żywo przypominało skandalicznie nieobiektywną moderację tzw. debaty przedwyborczej w byłej TVP. Chodzi mi o argumentację przedstawioną przez Obajtka.

Wobec stawianych mu, na razie nieformalnie, oskarżeń, bronił się w charakterystyczny sposób. A mianowicie nie odnosił się do zarzutów o sprzedaż części firmy w sposób nielegalny, z obejściem wymagań prawnych, po znacznie zaniżonej cenie, i to kupcowi o niemożliwych do przewidzenia i kontrolowania zamiarach oraz z aneksem w umowie uniemożliwiającym odstąpienie od niej na akceptowalnych warunkach finansowych.

Cała argumentacja Obajtka oparta była na dowodzeniu, że poprzez transakcję sprzedaży części firmy w istocie skomasował ją, zsynchronizował jej przychody i dochody, zrationalizował nowo powstały twór, a tym samym zwiększył jego wartość i znaczenie na rynku, a pośrednio bezpieczeństwo energetyczne kraju.

Ta argumentacja znajduje też wsparcie np. u byłego premiera, który stwierdził wczoraj, że Obajtek powinien dostać jakąś nagrodę czy pochwałę, a nie być obiektem zarzutów.

Sytuacja przypomina dokładnie tę ze sprawy byłych szefów służb Kamińskiego i Wąsika, którzy skazani zostali za przestępstwo przekroczenia uprawnień, m.in. za wykreowanie przestępstwa korupcji. Tymczasem oni i ulaskawiający ich Andrzej Duda twierdzą, że powinni być hołubieni, ponieważ dzielnie walczyli z korupcją.

Oba przypadki ukazują dogłębną demoralizację, irracjonalizm i alogiczność poglądów dużej części społeczeństwa, w tym prezydenta, byłych i urzędujących funkcjonariuszy państwa, wielu komentatorów. Otóż wydaje się, że uznają oni zasadę, iż

cel uświęca każde i jakiegokolwiek środki. Szczególnie jeśli użycie takich nielegalnych środków „ułatwia życie”, pozwala pójść po linii najmniejszego oporu.

Nikt nie zarzuca Kamińskiemu i Wąsikowi, że walczyli z korupcją, co najwyżej, że nie walczyli z nią wobec wszystkich skorumpowanych. Zarzuca się im natomiast, że w walce z korupcją użyli nielegalnych, sprzecznych z prawem metod.

Cywilizowany świat nie dopuszcza dowodów przestępstw zdobytych w nielegalny sposób. Są to bowiem „owoce z zatrutego drzewa”. Tymczasem u nas były minister sprawiedliwości Ziobro, przy aplauzie znacznej części społeczeństwa, nastawał na dopuszczalność tak zdobytych nielegalnie dowodów. Nie wiem, czy w końcu wprowadził tę zasadę do kodeksów, czy to jeden z tych jego zamiarów, które mu „nie wyszły”.

Podobnie w kwestii odpowiedzialności Obajtka. Jeśli okaże się, że istotnie pozycja energetyczna kraju na rynku i jego bezpieczeństwo energetyczne w wyniku transakcji Orlen – Lotos poprawiły się, to przecież nikt nie będzie miał tego za złe. Zarzut jednak brzmi inaczej: transakcję zawarto z pogwałceniem prawa, i to w dwójnasób: obchodząc istniejące prawo i zmieniając je w nielegalny sposób, aby umożliwić de facto transakcję. Co skutkowało zarzucaną niebagatelną stratą finansową firmy i państwa (jako częściowego udziałowca). Tutaj znowu widać w dużej części społeczeństwa (i samego Daniela Obajtka czy byłego premiera) przekonanie, że cel uświęca każde i wszelkie środki i że można, a nawet należy, obejść prawo, jeśli spodziewa się z tego tytułu korzyści.

To jest mniemanie wynikające z degrengolady społeczeństwa, w którym oportunizm i cynizm walczą o lepsze z niezrozumieniem i pogardą dla prawa i praworządności (pomijam już zwykłą przyzwoitość, być może nie ma na nią miejsca w polityce, biznesie i w służbach). Wygląda na to, że najbardziej cenimy sobie drogę na skróty, bo pozornie łatwiejsza i szybciej prowadzi do „celu”. To może być pokłosiem m.in. nauk prezesa PiS, który jakże często wyjaśniał meandry swych rozważań użyciem „skrótów myślowych”. Tak się w to zasluchaliśmy, że teraz wszędzie chcielibyśmy chodzić „na skróty” i beznamiętnie tak postępować nie usprawiedliwiamy. ●

Samorządowiec pisze list otwarty do Donalda Tuska

Odwróciliście się od nas plecami

Szanowny Panie Premierze!

Czy wyobraża sobie Pan sytuację, w której któryś z pańskich współpracowników nie jest w stanie utrzymać swojej rodziny z rządowej pensji? Co by Pan powiedział, gdyby pracownik Kancelarii Prezesa Rady Ministrów ogłosił zrzutkę na pokrycie wynajmu mieszkania, lekarstwa dla dziecka albo pożyczął pod koniec miesiąca wśród znajomych? Absurdalne i niedopuszczalne, prawda? A z taką rzeczywistością muszą się mierzyć pracownicy samorządów i ich rodziny.

Jeśli płace nie wzrosną, czeka nas exodus fachowców

Jestem pracownikiem takiego samorządu z dolnośląskiej Świdnicy. Jestem dumny z mojego miasta – tego, jak się rozwija, jak pięknie, mimo wielu problemów. To zasługa wielkiego wysiłku i zaangażowania setek ludzi – pracowników ratusza, gminy, jednostek podległych, spółek samorządowych. Przez lata udawało nam się utrzymywać w regionie ludzi kompetentnych. Nie dlatego, że świdnicka władza lokalna była w stanie zaoferować konkurencyjne stawki, ale dlatego, że stworzyliśmy tu etos patriotyzmu lokalnego. Wielu z nas mogłoby bez problemu znaleźć pracę w sektorze prywatnym, w samej Świdnicy, Legnicy, Wałbrzychu czy Wrocławiu.

Nasza cierpliwość się wyczerpała. Nie ma biur, w którym ktoś nie przebąkuje o zmianie pracy. Za chwilę polskie samorządy mogą stracić to, co mają najcenniejszego – ludzi: kompetentnych, doświadczonych, oddanych etosowi służby małej ojczyzny. Exodus wartościowych pracowników do sektora prywatnego, który udało nam się wyhamowywać w ostatnich latach, teraz może stać się zjawiskiem niemożliwym do powstrzymania.

Wie Pan, co czuje człowiek, który po 20 latach pracy zarabia mniej niż 4000 zł na rękę? I to nie proste roboty, ale kreatywnej, wymagającej mądrego zarządzania procesem i planowania strategicznego. To uczucie bycia zdradzonym i zapomnianym. Cholerne paskudny stan.

Subwencja zbyt niska

Bardzo się cieszymy, że pański rząd przyznał podwyżki nauczycielom. Zasłużyli na to wieloletnimi wyrzeczeniami. Szkoda tylko, że wysokość rządowej subwencji oświatowej nie pokryje kwoty potrzebnej do sfinansowania tych podwyżek. Samorządy muszą sięgać do środków własnych, rezygnując z realizacji innych celów, np. podwyżek dla swoich pracowników, wsparcia domów pomocy społecznej, bibliotek czy klubów sportowych. A my również zasłużyliśmy na wzrost płac. Tymczasem wy o nas zapomnieliście. Jak-



● **Protest samorządowców przed Sejmem pod hasłem „Pozostanie nam tylko ciemność” w związku ze wzrostem cen energii, 7 października 2022**

FOT. SŁAWOMIR
KAMIŃSKI / AGENCJA
WYBORCZA.PL

by nasza praca była mniej ważna. Poczuliśmy się jak ludzie drugiej kategorii. Rozczarowanie, smutek i gniew – to czujemy dzisiaj.

PiS nas okradł, wy odwróciliście się plecami

Rząd Zjednoczonej Prawicy nie tylko nie pomógł, ale wręcz ograł samorządy za sprawą reformy podatkowej z 2019 roku. Z analizy Związku Miast Polskich wynika, że samorządy straciły 42,7 mld zł dochodów z udziałów w PIT w latach 2019-23. To ogromna kwota, która mogłaby pracować na rzecz rozwoju małych ojczyzn.

Wy mogliście podać nam rękę, ale odwróciliście się do nas plecami. Oczekiwaliśmy rekompensaty w postaci podwyższenia subwencji. To powinno być intuicyjnym kierunkiem działania dla nowej władzy. Szczególnie że ta, w roli opozycji, pozwoliła PiS w zasadzie bez walki dokonać zaboru samorządowych zasobów. Na razie jednak rząd koalicyjny podąża drogą poprzedników – samorządy zostały skazane na stagnację, erozję talentów i spadek jakości usług publicznych.

Płaca minimalna plus 20 proc. – dla sfery publicznej i samorządów

My, samorządowcy ze Świdnicy, chcemy, by pracownicy władz lokalnych mogli liczyć na uczciwe wynagrodzenia i dobre warunki pracy. Żądamy ustanowienia płacy minimalnej dla pracowników administracji publicznej, samorządowej, spółek skarbu państwa i wykonawców zleceń publicznych na poziomie ustawowego wynagrodzenia minimalnego plus 20 proc.

Oczekujemy, że subwencja państwowa będzie pokrywać ten poziom płac w 100 proc. Dopiero kwoty powyżej tej stawki powinny być pokrywane przez samorząd. Pozwoli to zatrzymać migrację fachowców i doświad-

czonych pracowników z sektora publicznego i małych regionów do dużych miast i dużych firm oraz podtrzymać jakość działania samorządów. A także prestiż państwa – w końcu poziom zarobków w sferze publicznej jest też świadectwem jego sprawności.

Donaldzie Tusku, zapraszamy do Świdnicy

A może za mało krzyczeliśmy? Może tylko tak można z Wami rozmawiać? Tego właśnie chcecie – protestów pracowników samorządów w roku wyborów samorządowych? Będę szczery – działając w taki sposób, jesteście na najlepszej drodze, by te wybory przegrać.

Panie premierze, zapraszamy do Świdnicy, przedstawimy Panu ludzi, którzy dźwigają na swoich barkach rozwój Polski w skali małego regionu, jednego z wielu, z jakich składa się nasz kraj. Porozmawiajmy jak obywatele demokratycznego państwa z przywódcą politycznym, który tę demokrację w Polsce obiecał przywrócić.

Dla jasności, postulaty Związkowej Alternatywy Pracowników Samorządów to:

- znaczne zwiększenie subwencji dla samorządów;
- ustanowienie płacy minimalnej dla pracowników całego sektora publicznego, w tym samorządów, pracowników spółek skarbu państwa i wykonawców zleceń publicznych – ustawowe minimalne wynagrodzenie plus 20 proc;
- przeprowadzenie audytu finansów samorządów w celu wykazania, gdzie udział środków własnych w wydatkach jest największy;
- wypłata wynagrodzeń za nadgodziny zgodnie z kodeksem pracy – obecnie zapisy w ustawie o pracownikach samorządowych są mniej korzystne, niż przewiduje kodeks pracy. ●

Jacek Wolszczak, przewodniczący zrzeszonego w Związkowej Alternatywie Związku Zawodowego Świdniczan

Panie premierze, zapraszamy do Świdnicy, przedstawimy Panu ludzi, którzy dźwigają na swoich barkach rozwój Polski w skali małego regionu, jednego z wielu, z jakich składa się nasz kraj. Porozmawiajmy jak obywatele demokratycznego państwa z przywódcą politycznym, który tę demokrację w Polsce obiecał przywrócić

Rosja. Niepokorni pisarze stracą majątki

Putinowska rewolucja kulturalna przybiera na sile. Krnąbrni artyści stają się przestępcami, tracą prawa autorskie i honoraria. Duma uchwaliła ustawę, która pozwoli odbierać im mieszkania i mienie.

Wacław Radziwinowicz

– „Każdy, kto próbuje zaszkodzić ojczyźnie, krajowi i obywatelom, zostanie pozbawiony wszystkiego i zdechnie za granicami naszego kraju jak pies ostatni” – tak Andriej Ługowoj, deputowany do niższej izby parlamentu Rosji, wyjaśnił istotę napisanej przy jego udziale i przyjętej w minionym tygodniu ustawy o konfiskowaniu dobytku tych, którzy o wojnie z Ukrainą mówią czy piszą niezgodnie z oficjalną wersją głoszoną przez Kreml i Sztab Generalny albo „wzywają do działalności skierowanej przeciw bezpieczeństwu państwa”.

Zdaniem Ługowoja tacy obywatele powinni nie tylko „trochę posiedzieć w więzieniu”, ale i stracić „wszystko, czym dysponują”.

Tej drakońskiej, jakby żywcem spisanej z kodeksów stalinowskich ustawie towarzyszyć mają też regulacje „osłowne”. Każda transakcja dotycząca sprzedaży czy podarowania na przykład mieszkania może być przeprowadzona w Rosji jedynie w obecności właściciela. Opozycjonista, który przed prześladowaniami uciekł za granicę, musiałby więc stawić się przed notariuszem moskiewskim, ryzykując, że zanim do niego dojdzie, zostanie aresztowany.

Konfiskata w zamyśle Ługowoja musi też być „rozszerzona”. Państwo przypisze sobie prawo odbierania także mienia należącego do członków szeroko pojętej rodziny „zdrajcy”.

Putin na całego przywraca stalinowskie „normy prawne”, zgodnie z którymi ofiarom NKWD automatycznie odbierano wszystko, a ich bliskich wyrzucano na bruk. Po Stalinie w ZSRR konfiskowano jedynie to, czego osądzony dorobił się w wyniku przestępstwa, oraz to, co służyło mu do jego popełnienia. Dzisiejsza Konstytucja Federacji Rosyjskiej też zabrania stosowania konfiskaty jako kary, zezwala jedynie na odbieranie mienia w celu zrekompensowania szkód wyrządzonych przez skazanego już prawomocnym wyrokiem przestępcę.

Nowe-stare zasady pozbawią wszystkich skazanych na długie lata łagrów opozycjonistów takich jak Aleksiej Nawalny, Ilja Jaszyn czy Władimir Kara-Murza. Ich ofiarą padają też najwybitniejsi rosyjscy twórcy.

Akunin wymazywany ze swoich sztuk

Nowe przepisy mogą na przykład objąć najpopularniejszego wśród dziś żyjących pisarzy rosyjskich, znanego w świecie choćby z powieści o Eraście Fandorinie Borisa Akunina (prawdziwe nazwisko Grigorij Czchartiszwili). Akunin wyprowadził się z Rosji już w 2014 r., po anek-



FOT. NIKOLAJ VINOKUROV / ALAMY / BE&W

sji Krymu. Jest zdecydowanym przeciwnikiem wojny i Putina, ale jego przynoszące wydawnictwom ogromne zyski książki były do niedawna wciąż wydawane, a cieszące się ogromną popularnością spektakle teatralne – wystawiane.

Teraz jednak przeciwko pisarzowi oskarżonemu o ekstremizm toczy się postępowanie karne. Książki znikają z półek. Należy mu honoraria, jak wzywają „patrioci”, wydawcy mają oddać na cele „specjalnej operacji wojskowej”, czyli wojny Putina.

W dwóch petersburskich teatrach wciąż jednak cieszą się dużą popularnością sztuki oparte na książkach wykletego Akunina. Petersburski Teatr Aleksandryjski najpierw pod naciskiem fali donosów pisanych przez „patriotów” zdjął z afisza spektakl „1881”, a potem ogłosił, że jego autorstwo, a więc i prawa autorskie należą nie do Akunina, ale „grupy, która uczestniczyła w przygotowaniu przedstawienia”. I to właśnie „grupy” należą się honoraria.

Teatr „LDM Nowa Scena” miał w repertuarze akuninowski „Diamentowy rydwan” i właśnie pośpiesznie go przerobił na sztukę pod tytułem „Marco Polo. Biały Lotos”. Głównym bohaterem jest już nie Erast Fandorin, ale Marco Polo, miejscem akcji – nie „wraża” Japonia, ale Chiny. Nazwisko „Akunin” zniknęło z afisza. Honorarium autorskie dostaną „adaptatorzy” spektaklu do nowej rzeczywistości politycznej.

Bykow, Sorokin, Ulicka wycofywani z księgarń

Moskiewskie mieszkanie z widokiem na konfiskatę ma należący do absolutnej czołówki rosyjskich mistrzów pióra Dmitrij Bykow (telewizja kremlowska dla zdemaskowania wroga nazywa go teraz nazwiskiem ojca – Zilbertrud). Bykow wykłada dziś na uniwersytetach w USA i marwi się przede wszystkim tym, że w ręce

Nowe przepisy mogą objąć Borisa Akunina (prawdziwe nazwisko Grigorij Czchartiszwili)

obcych ludzi wpadną pamiętki po matce, zwykłej nauczycielce, która sama go wychowała i wykształciła w najlepszych szkołach. Sam nie może po nie wrócić, bo skończy w więzieniu.

Książki Bykowa są dziś wycofywane z półek księgarń tak samo jak książki Ludmiły Ulickiej, Władimira Sorokina czy Dmitrija Głuchowskiego. Ta lista jest bardzo długa. O jakimkolwiek rosyjskim twórcy z czołówki światowej by pomyśleć, okazał się on „agentem zagranicy”, „zdrajcą”, „wrogiem”, którego proces „wymazywania” już się rozpoczął.

Zupełnie jak u Michaiła Bułhakowa – „czego się u was nie tknąć, tego nie ma”.

„Mistrz i Małgorzata” z korzeniami w USA

Nie ma też łatwego życia wypuszczona właśnie na ekrany nowa wersja „Mistrza i Małgorzaty” według książki Bułhakowa. Film wypełnia kinowe sale; w godzinę zarabia więcej niż kręcone z patosem za państwowe pieniądze patriotyczne ramoty przez całe swoje krótkie ekranowe życie.

Kinowy hit wywołał jednak ogromny skandal i oburzenie, bo za w większości państwowe fundusze nakręcił go reżyser z USA Michaił Łokszyn. Zdjęcia ukończono jeszcze przed agresją Putina na Ukrainę, ale po niej Łokszyn, syn pary komunistów amerykańskich, którzy w poszukiwaniu „prawdziwej wolności” w latach 80. ubiegłego wieku wyemigrowali do ZSRR, teraz popiera Ukrainę i wspiera ją swoimi pieniędzmi.

Turbopatrioci domagają się nie tylko zdjęcia filmu z ekranów, ale też ściągania i przykładowej rozprawy z tymi, którzy dali pieniądze rosyjskie Amerykaninowi służącemu „kijowskim nazistom”.

Ta afery dotyczy bardzo wysokich szczebli. Pieniędźmi na – jak mawiał Lenin – „najważniejszą ze sztuk” dysponuje Fundusz Kino, czyli poprzez swoją faworytkę, minister kultury Olgę Lubi-mową, Siergiej Michalkow, nadworny reżyser Putina. Ugryźć zaprawionego w kremlowskich intrygach potomka carskich dostojników i ulubionego poety Stalina łatwo nie jest.

Zaczyna więc obowiązywać podobna jak w przypadku spektakli na podstawie Akunina wersja, że Łokszyn skończył pracę nad filmem jeszcze przed wojną, a potem zajmowali się nim już tylko ideologicznie czysti Rosjanie i to oni, a nie Amerykanin, są autorami ekranizacji „Mistrza i Małgorzaty” i im się należy honoraria.

Mamy więc kolejny przykład konfiskaty.

Kremlowska telewizja jak powieść Bułhakowa

Cała sytuacja jest, bo jak w Rosji miałoby być inaczej, paradoksalna. Tak się złożyło, że oglądałem film Łokszyna (bardzo dobry, polecam) fragmentami, przerywając seans programami informacyjnymi i publicystycznymi telewizji kremlowskiej.

I złapałem się na tym, że wszystko jest o tym samym. Tu – zebranie stalinowskiego Massolitu, na którym literackie miernoty gnoją Mistrza i uczą go, jak ma pisać, a potem jedna z nich mości się w jego mieszkaniu. I jeszcze Jezua Ha-Nocri posyłany na kaźń za słowa przeciw władzy. Tam – profesjonalni krzykacze gnoją Akuninów, „Zilbertrudów”, Ulickie i radują się, że twórcy w końcu, w nędzy i bezdomni, „zdechną jak ostatnie psy”. ●

Blinken rozmawia z Saudami

Amerykański sekretarz stanu jeździ po regionie, by szukać sposobów zakończenia wojny Hamasu z Izraelem w Strefie Gazy. Izraelczycy przenoszą swoją w enklawie do Rafah, gdzie koczuje ponad milion uchodźców, a Amerykanie atakują cele wspierających Hamas rebeliantów w Jemenie i szyickich bojówek w Iraku.

Marta Urzędowska

Arabia Saudyjska to pierwszy przystanek w rozpoczętej piątej już wyprawie Antony'ego Blinkena na Bliski Wschód od października, kiedy terroryści z Hamasu zaatakowali Izrael, zabijając 1,2 tys. osób, porywając 250 i wywołując brutalny izraelski odwet w Strefie Gazy, który kosztował już życie 27 tys. Palestyńczyków.

Najważniejszy amerykański dyplomata przyjechał do regionu, by rozmawiać z miejscowymi przywódcami o możliwościach doprowadzenia do rozejmu i zwolnienia izraelskich zakładników, których ok. 130 nadal tkwi w rękach palestyńskich terrorystów. Pozostałych uwolniono w listopadzie ubiegłego roku, w ramach poprzedniego zawieszenia broni i wymiany zakładników na palestyńskich więźniów.

Po rozmowach z Saudami Blinken pojedzie do Egiptu, Kataru, Izraela i na Zachodni Brzeg Jordanu, gdzie spotka się z palestyńskimi przywódcami.

Jak informuje w oświadczeniu Jake Sullivan, doradca Białego Domu ds. bezpieczeństwa narodowego, poza rozejmem i zwolnieniem zakładników Blinken będzie też rozmawiał z Izraelczykami i Arabami o sytuacji humanitarnej w Strefie Gazy.

Ta stale się pogarsza – eksperci z ONZ alarmują, że Izrael mocno ogranicza ilość wpuszczanej do

enklawy pomocy humanitarnej, a w ostatnich dniach nasila działania wojenne w Rafah na samym południu Strefy. Obrońcy praw człowieka przypominają, że właśnie tam schroniły się setki tysięcy Palestyńczyków, którzy uciekli przed wojną z innych części Gazy, przenosząc się na południe na wyraźne polecenie izraelskiej armii, zapewniając, że tam będą bezpieczni. W efekcie ponad połowa z 2,3 mln odciętych od świata przez Izrael i Egipt mieszkańców Gazy koczuje właśnie w Rafah.

Izraelczycy przekonują, że koniec z taryfą ulgową, bo w mieście ukrywają się ważni terroryści z Hamasu, których trzeba dopaść. Jak podaje ONZ, w najnowszych atakach izraelskiej armii w Rafah tylko w ciągu ostatniego weekendu zginęło ponad 120 osób. W ataku na jeden z budynków mieszkalnych zginęło co najmniej dwadzieścia osób, a dziesiątki są rannych, OCHA – agenda ONZ zajmująca się pomocą humanitarną – potwierdza, że wśród zaatakowanych przez Izrael budynków jest też przedszkole, w którym schroniły się rodziny uchodźców.

Nadal intensywne walki i nalopty trwają też nieco bardziej na północ, w mieście Chan Junis, gdzie – jak przekonuje izraelska armia – terroryści z Hamasu mają swoje bazy i ośrodki szkoleniowe i gdzie mogą się ukrywać ich najważniejsi dowódcy, wśród nich Jahja Sinwar, szef grupy w Strefie Gazy.

Rebelianci: Nie zniechęćcie nas do strzelania do statków

W czasie gdy Izraelczycy walczą z terrorystami w Gazie, a liczba ofiar wśród palestyńskich cywilów nie przestaje rosnąć, wojna coraz wyraźniej rozlewa się na region. W weekend Amerykanie ponownie zaatakowali w Jemenie cele miejscowych szyickich rebeliantów Huti, którzy – w ramach solidaryzowania się z Hamasem – od miesiący atakują statki komercyjne płynące Morzem Czerwonym.

Choć w atakach nikt nie ginie, Huti, strzelając do statków, mocno mieszają w światowym handlu, bo firmy transportowe ze strachu przed atakami ślą swoje jednostki dłuższą drogą wokół Afryki, która jest czasochłonna i droga.

Zachód próbuje zmusić Huti – którzy podobnie jak Hamas są zbrojeni i sponsorowani przez Iran – by przestali atakować. W ostatnich tygodniach Amerykanie, czasem przy wsparciu Brytyjczyków, już kilka razy bombardowali cele w Jemenie, biorąc na celownik broń, magazyny i bazy Huti. W niedzielę rano zaatakowali ponownie, bombardując pociski „przygotowane do odpalenia w kierunku statków na Morzu Czerwonym”. Rzecznik rebeliantów odpowiedział, że ataki „spotkają się z odpowiedzią” i „nie znie-

W czasie gdy Izraelczycy walczą z terrorystami w Gazie, a liczba ofiar wśród palestyńskich cywilów nie przestaje rosnąć, wojna coraz wyraźniej rozlewa się na region

chęć jemeńskich sił do wspierania Palestyńczyków w walce z syjonistyczną okupacją”.

Ataki na swoich podopiecznych w Jemenie ostro krytykuje Teheran. Rzecznik irańskiego MSZ Nasser Kanaani ostrzegł, że stoją one „w wyraźnej sprzeczności z zapewnieniami Waszyngtonu i Londynu, że nie chcą rozszerzenia wojny i konfliktu regionalnego”. Jednocześnie Irańczycy przy każdej okazji podkreślają, że oni sami nie mają nic wspólnego z atakami na statki.

Bojówki w Iraku: Wynoście się, igracze z ogniem

Amerykanie biorą odwet nie tylko na Huti. Tydzień temu inni sojusznicy Hamasu, szyickie bojówki działające w Iraku i Syrii, zaatakowały amerykańską bazę na syryjsko-jordańskim pograniczu, zabijając trzech amerykańskich żołnierzy. Tym samym po raz pierwszy od początku obecnej eskalacji na Bliskim Wschodzie rozpoczętej atakiem Hamasu na Izrael w regionie zginęli Amerykanie.

Prezydent Joe Biden od początku zapowiadał odwet, ostatecznie skończyło się na stosowanych już wcześniej wielokrotnie punktowych nalotach na cele szyickich bojówek. Choć Amerykanie wiedzą, że za atakami na ich interesy stoi Teheran, nie zdecydowali się uderzyć na terytorium Iranu, bo w obecnej napiętej sytuacji nie chcą rozpętać kolejnej bliskowschodniej awantury. Nie oznacza to, że nie reagują na ataki – jak podkreślał Sullivan w rozmowie z NBC, przeprowadzonej w piątek, amerykańskie odwetowe naloty w Iraku i Syrii były „nie końcem, ale początkiem amerykańskiej odpowiedzi”.

W odpowiedzi na ataki w Iraku szef miejscowego sojuszu proirańskich bojówek ostrzegł, że USA

„igrają z ogniem”, i zażądał wycofania amerykańskich sił z Iraku. W Iraku i Syrii stacjonuje w sumie zaledwie kilka tysięcy amerykańskich żołnierzy, którzy szkoleniami pomagają miejscowym siłom trzymać w szachu niedobitki terrorystów z ISIS.

Biden traci cierpliwość do Netanjahu?

Izraelczycy uważają, że Amerykanie za słabo wspierają ich w wojnie z Hamasem. W niedzielę izraelski minister bezpieczeństwa narodowego Itamar Ben-Gwir żalił się w rozmowie z „Wall Street Journal”, że Biden, „zamiast dawać Izraelowi pełne poparcie, zajmuje się dostarczaniem pomocy humanitarnej i paliwa do Gazy, gdzie trafiają w ręce Hamasu”. – Gdyby u władzy był Donald Trump, zachowanie USA wyglądałoby zupełnie inaczej – dodał.

Izraelczycy są wściekli, bo Amerykanom powoli kończy się cierpliwość w relacjach ze skrajnie prawicowym rządem Beniamina Netanjahu. W ostatnich dniach Biden ogłosił, że nakłada sankcje na żydowskich osadników, którzy w ostatnich miesiącach nasilili ataki na Palestyńczyków na Zachodnim Brzegu. Jednak w żadnym momencie Waszyngton nie wezwał Izraela, by kończył swoją kampanię w Gazie.

W ostatnich dniach znawca regionu Thomas Friedman wieszczył na łamach „New York Timesa”, że waszyngtońska administracja szykuje nową strategię postępowania na Bliskim Wschodzie, którą można określić jako doktrynę Bidena. Miałaby polegać na mniej ugodowym traktowaniu izraelskiego sojusznika i zdecydowanym poparciu dla koncepcji utworzenia zdemilitaryzowanego palestyńskiego państwa. ●

Czy Nadieżdin stanie w szranki z Putinem?

Władimir Putin może wyeliminować Borysa Nadieżdina w przedbiegach albo też wpuścić rywala na ring, by – mocą swojej propagandy, mediów i służb – zmiażdżyć go.

Putinowska Centralna Komisja Wyborcza zakwestionowała 15 proc. podpisów poparcia dla przeciwnika wojny Borysa Nadieżdina. Czy ostatecznie nie dopuści go do rywalizacji o prezydenturę – okaże się w najbliższą środę.

„Posiedzenie komisji się skończyło. 15,348 proc. podpisów uznano za wadliwe. Przed nami dwie bezsenne noce” – napisał w poniedziałek 5 lutego Igor Artiemiw, członek sztabu krytyka Władimira Putina, po spotkaniu w Centralnej Komisji Wyborczej (CKW).

By kandydat na kandydata stał się ostatecznie kandydatem na prezydenta Federacji Rosyjskiej, za nieprawidłowe może zostać uznane maksymalnie 5 proc. z przedstawionych przezeń podpisów. Jeśli kontrolerzy uznają, że jest ich więcej, pretendent zostaje zdyskwalifikowany i ostatecznie wypada z gry.

60-letni Nadieżdin teoretycznie (bo w praktyce decyzję dotyczącą jego losów podjął już i trzyma w tajemnicy Putin) ma dwie pracowite doby na poprawę sytuacji.

– Wystarczy, że w rozmowach z CKW odbijemy 4500 z tych 9209 podpisów, które naszym zdaniem niesłusznie uznano za nieprawidłowe – wylicza liberalny polityk.

Jeśli pretendent się nie pomylił w rachunkach (jest doktorem fizyki), ludzie Elly Pamfilowej, szefowej CKW, popełnili kompromitujący błąd. Jak zapisali w swoich dokumentach, sprawdzili ponoć 90 tys. podpisów, więc 9 tys. zakwestionowanych stanowi 10, a nie 15 proc.

Rosja ma specjalną procedurę wyłaniania kandydatów na kandydatów

Doświadczenia z poprzednich kampanii podpowiadają, że reklamacje łatwo nie przejdą. Putinowscy urzędnicy od wyborów uparcie walczą o każdy autograf. Mają zresztą pełną kontrolę nad całym procesem głosowania.

By rosyjski polityk mógł stanąć do tego, co tylko powierzchownie

przypomina wybory, musi najpierw zostać urzędowo uznany za „kandydata na kandydata” i przedstawić protokół posiedzenia wysuwającej go grupy wsparcia.

Już na tym etapie CKW spaliła występującą z pozycji antywojennych dziennikarkę z Rżewa Jekaterinę Duncową. Ta grupę zebrała, dokument przyniosła. A urzędnicy znaleźli w nim ponad sto pomyłek i – udając współczucie – z politowaniem Duncową zdyskwalifikowali.

Zbieranie podpisów poparcia to następny stopień, który mogą pominąć tylko pretendenci wspierani przez partie reprezentowane w Dumie. Dzięki temu kandydatami od razu stali się: Nikołaj Charitonow (Komunistyczna Partia Federacji Rosyjskiej), Leonid Shucki (żyrinowcy) i Władisław Dawankow (Nowi Ludzie). Wszystkie te ugrupowania to „opozycja” licencjonowana i wiernie idąca na pasku Kremla.

„Niezależny” Władimir Putin i „pozaparlamentarny” Borys Nadieżdin

Putin śmiało odrzucił usługi swojej „partii władzy” Jedna Rosja i sta-

nał do wyścigu jako „niezależny”. Musiał więc zebrać 300 tys. podpisów poparcia. Zebrał ich ponoć 2,5 mln – w dodatku idealnie czystych. I choć tego, jak zbierał, nikt nie widział, został zarejestrowany.

Borys Nadieżdin wysunięty przez partię pozaparlamentarną o nazwie Inicjatywa Obywatelska musiał mieć podpisów 100 tys. Zebrał dwa i pół razy więcej. I było to widać, bo przed jego sztabami w wielu miastach Rosji i za granicą ustawiały się długie kolejki zwolenników liberalnego polityka.

Dokładnie sprawdzone przez jego sztaby listy ze 105 tys. wybranych jako absolutnie prawidłowe podpisów przekazano do CKW, gdzie – jeszcze zanim zdążono je zweryfikować (sprawdza się wybraną losowo część list) – szybko ogłoszono, że jest wśród nich wiele martwych dusz, czyli autografów wyborców już nieżyjących.

Ta sprawność zastanawia i przypomina, że w poprzednich wyborach władze często wprowadzały do sztabów opozycyjnych polityków swoich agentów, a ci specjalnie fabrykowali lewe podpisy, które potem urzęd-

nicy wyborczy odnajdywali bez trudu, bo wiedzieli, gdzie ich szukać.

Wszechmocny Władimir Putin

To, czy Nadieżdin stanie się kandydatem, okaże się w środę 7 lutego.

Jeśli decyzja CKW będzie negatywna, Nadieżdinowi zostanie jeszcze odwołanie do Sądu Najwyższego, też w pełni podporządkowanego Putinowi. Bo jedynie on ma wybór. Musi rozważyć, co bardziej mu się opłaci. Może w przedbiegach wyeliminować jedynego konkurenta, który rzucił mu rękawicę i pokazał, że ma poparcie społeczne, by w dniach 15-17 marca („wybory” będą trzydniowe) odnieść „tryumf” w boju z aż trzema swoimi cieniami. Może też wpuścić rywala na ring, by – mocą swojej propagandy, mediów i służb – zmiażdżyć go. ●

Wacław Radziwinowicz

wyborcza.pl

• Więcej czytaj na **Wyborcza.pl/swiat**

Spadochroniarze w NBP

Dwa dni po odwołaniu z rady nadzorczej Enei Aneta Kordowska, znana z Polskiej Fundacji Narodowej, została zatrudniona w NBP. Szeregowi pracownicy mają dość.

Ireneusz Sudak

Narodowy Bank Polski zaczyna przypominać instytucję samopomocową dla osób, które po przegranych przez Zjednoczoną Prawicę wyborach straciły zajęcie. Skala i tempo zatrudniania nowych osób w banku wprawiają w osłupienie i wywołują niesmak wśród wieloletnich pracowników NBP. To właśnie ta instytucja daje gwarancję zatrudnienia wielu osobom kojarzonym z PiS ze względu na sześcioletnią, kończącą się dopiero w 2028 roku kadencję prezesa banku centralnego Adama Glapińskiego.

Z informacji serwisu Wyborcza.biz wynika, że NBP przygotowywał się do operacji przyjmowania „zaciągu” Zjednoczonej Prawicy już od miesięcy. A w styczniu pracownicy dostali nagrody sięgające nawet 170 tys. zł w przypadku dyrektorów. Wśród pracowników z doświadczeniem narasta bunt.

NBP skuteczniejszy niż Pracuj.pl

– Jesteśmy załamani tym, co się dzieje. Proszę sobie wyobrazić taką sytuację: jest wtorek, Aneta Kordowska zostaje odwołana ze stanowiska w radzie nadzorczej Enei. Mijają dwa dni, ta sama pani zaczyna pracę w NBP w departamencie statystyki – bardzo ważnym departamencie. Stawiamy pytanie, jak możliwe było przeprowadzenie tak szybkiej rekrutacji w tak krótkim czasie do takiego działu – mówi nam osoba z wewnątrz banku. Używa liczby mnogiej, bo twierdzi, że rozmawia z „Wyborczą” nie tylko w swoim imieniu, ale też wielu innych pracowników.

W obawie o działania odwetowe zastrzega anonimowość, ale jej tożsamość jest nam znana.

– Czujemy się bezradni i sfrustrowani. Nie mamy na to żadnego wpływu, ale może dzięki presji medialnej ktoś w NBP się opamięta – twierdzi nasz rozmówca.

Aneta Kordowska, która właśnie trafiła do NBP, ma bogate CV i – jak wynika z informacji na stronie internetowej Enei – „poświadczenia bezpieczeństwa do najwyższych klauzul informacji niejawnych, także UE oraz NATO”. Jest również aktywna na portalu X. W marcu 2022 r. została prezeską Fundacji Polskiej Grupy Zbrojeniowej, a w lutym 2023 członkinią zarządu Polskiej Fundacji Narodowej (PFN).

Polska Fundacja Narodowa została założona z inicjatywy PiS z budżetem 100 mln zł rocznie, na który obligatoryjnie miały zrzucać się spółki skarbu państwa. To quasi-PR-owa organizacja – miała bronić dobrego imienia Polski za granicą, promować wizerunek kraju i gospodarki. Jak pisała „Wyborcza”, PFN to najbogatsza fundacja w Polsce.

• **Kadencja prezesa banku centralnego Adama Glapińskiego kończy się w 2028 r.**

FOT. KUBA ATYS /
AGENCJA WYBORCZA.PL



Z kolei Fundacja Polskiej Grupy Zbrojeniowej na przykład brała udział w kampanii w ogłoszonym przez PiS referendum, które dotyczyło m.in. przyjmowania uchodźców i „wyprzedazy państwowych przedsiębiorstw”.

NBP szykował grunt pod desant z PiS

Problem nie leży w tym jednym nazwisku. Takich przypadków, czyli zatrudniania w NBP nowych osób związanych z obozem Zjednoczonej Prawicy, są od 15 października dziesiątki.

To na przykład: Agnieszka Kaczmarska, była szefowa Kancelarii Sejmu, która przed 2016 r. była radną dzielnicy Targówek; Marcin Sławewski, były dyrektor gabinetu ministra sprawiedliwości Zbigniewa Ziobry; była rzeczniczka Przemysława Czarnka Adriana Całus-Polak, która na portalu X promuje treści Ordo Iuris czy krytykujące związki partnerskie; Jolanta Lewandowska, była dyrektorka generalna w Ministerstwie Obrony Narodowej.

W tym gronie jest też nowy członek zarządu NBP Artur Soboń, prominentny polityk PiS, który pracował w czterech różnych ministerstwach, a ostatnio nie chciał odpowiadać na pytania posłów podczas przesłuchania przez komisję ds. wyborów kopertowych.

W ostatnich kilku tygodniach do banku centralnego trafił też Wojciech Jasiński, bliski współpracownik Jarosława Kaczyńskiego, były już członek rady nadzorczej Orlenu. Jasiński pracuje jako doradca prezesa. W sumie, jak wyliczała „Rzeczpospolita”, grono doradców to już 14 osób.

– Nie jesteśmy zaangażowani w politykę, nie jesteśmy ani za PiS, ani za PO, pracujemy w NBP od wielu lat, ale wszystko ma swoje granice. W ostatnim roku w NBP zwolniło

się nawet 200 etatów. To efekt tego, że osoby, które były w wieku emerytalnym albo miały już uprawnienia emerytalne, były wypychane na emeryturę. Teraz rozumiemy, że miało to swój cel – przygotować miejsce pod spadochroniarzy, którzy stracą posady po przegranych przez PiS wyborach – słyszymy.

Według naszego informatora w styczniu w NBP przydzielano nagrody. Pracownicy dostali 4-8 tys. zł. Dyrektorzy i pracownicy wyższego szczebla dostali grubo ponad 100 tys. zł, do 170 tys. zł.

To, że nagroda dyrektora jest większa niż szeregowego pracownika, to nic nadzwyczajnego. Jednak, jak słyszymy, wysokość nagród była ustalana uznaniowo i pracownicy mają podejrzenia, że największe premie dostały osoby dobierane według klucza relacyjnego, a nie merytorycznego.

W grudniu członek zarządu NBP Paweł Mucha przedstawił dokumenty, z których wynika, że prezes Adam Glapiński dostał w 2023 r. rekordowe premie – sięgające 140 tys. zł za pierwszy kwartał i ponad 200 tys. za czwarty.

– Słowa uznania należą się Pawłowi Musze, że ujawnił te kwoty. Potem w trakcie spotkania opłatkowego prezes NBP mówił nam, że nagrody nie wynikają z jego pracy, ale są premią za ponoszone przez niego ryzyko – słyszymy od naszego rozmówcy.

NIK sprawdzi wynagrodzenia w NBP

Biuro prasowe Narodowego Banku Polskiego co do zasady nie odpowiada na zapytania prasowe. Do tej pory, mimo wielokrotnie wysyłanych na przestrzeni miesięcy pytań w różnych sprawach, na żadne nie dostaliśmy odpowiedzi.

To samo dotyczy większości redakcji. Nie inaczej jest również w tym przypadku. Pytania

Z informacji serwisu Wyborcza.biz wynika, że NBP przygotowywał się do operacji przyjmowania „zaciągu” Zjednoczonej Prawicy już od miesięcy

o kryterium przyznawania nagród, jak również o to, ile osób zatrudnił NBP po 15 października 2023 r., pozostają bez odpowiedzi (maila w tej sprawie wysłaliśmy w piątek po godz. 12).

– Departament prawny dostał specjalne zadanie. Szuka uzasadnień i sposobów, by nie odpowiadać nie tylko na pytania prasowe, ale też na zapytania w trybie dostępu do informacji publicznej – mówi nasz rozmówca.

– Czekamy z niecierpliwością, jak osoby odpowiedzialne zostaną pociągnięte do odpowiedzialności, czy to przed Trybunałem Stanu, czy przed sądami powszechnymi – konkluduje nasz informator.

Obecna koalicja nie zdecydowała jeszcze, czy postawi prezesa Adama Glapińskiego przed Trybunałem Stanu. Z wcześniejszych wypowiedzi premiera Donalda Tuska można wnioskować, że tak się prędzej czy później stanie.

W NBP trwa właśnie coroczna kontrola NIK. W tym roku została jednak rozszerzona o kwestie związane z wynagrodzeniami w banku centralnym oraz koszty promocji – informowało biuro prasowe NIK. ●

Zmiany kadrowe w GPW

Tomasz Bardziłowski zostanie nowym prezesem Gieldy Papierów Wartościowych. Tym samym potwierdzają się nasze informacje. Ministerstwo Aktywów Państwowych wskazało też nowych członków rady Gieldy. Przedstawiciele rynku uważają, że nie zostali wysłuchani.

Ministerstwo Aktywów Państwowych robi porządki w Gieldzie Papierów Wartościowych. Akcjona-

riusze GPW, czyli w przeważającej części skarb państwa, odwołali – po ponad sześciu latach – prezesa Gieldy Marka Dietla i radę.

A na nowego prezesa wskazali Tomasza Bardziłowskiego. To dyrektor zarządzający w Ipopema Securities, wiceprezes Stowarzyszenia Emitentów Gieldowych, były dyrektor zarządzający DI Investors, były pracownik Credit Suisse Securities, UniCredit CAIB oraz szef CAIB Securities.

O kandydaturze Bardziłowskiego pisaliśmy w czwartek. Prezeską GPW nie zostanie typowana na to stanowisko Beata Stelmach, była prezeska General Electric w Polsce.

Formalnie zgodę na objęcie stanowiska przez nowego prezesa musi jeszcze wyrazić KNF. Bardziłowski spełnia kryteria, by pełnić funkcję prezesa, ale do końca pozostaje cieniem niepewności. Tym bardziej że wbrew dobremu obyczajowi tymczasowy premier Mateusz Mora-

Formalnie zgodę na objęcie stanowiska przez nowego prezesa musi jeszcze wyrazić KNF

wiecki powołał w grudniu na kolejne pięć lat szefa KNF Jacka Jastrzębskiego. KNF zwlekał już kilkakrotnie z wyrażeniem zgody na nowych menedżerów spółek finansowych.

Prezes GPW jest wybierany inaczej niż większość prezesów: o powołaniu decyduje walne zgromadzenie, a nie rada nadzorcza w drodze postępowania kwalifikacyjnego. Dlatego zmiany mogły zajść tak szybko. ●

Ireneusz Sudak

Bycie uczciwym musi się opłacać

Koniec z premiami za brak zwolnień lekarskich i uporządkowanie kwestii śmieciówek – takie są plany ministru pracy. – Przestrzeganie kodeksu pracy powinno być normą.

ROZMOWA Z
**AGNIESZKA
DZIEMIANOWICZ-BAK**
ministrami rodziny, pracy
i polityki społecznej

MARIA KORCZ: Przekładała pani tę rozmowę od kilku tygodni, tłumacząc się porządkami w ministerstwie. Tyle trwało sprzątanie po minister Małag?
AGNIESZKA DZIEMIANOWICZ-BAK: Od pierwszych chwil obecności tutaj ruszyliśmy z działaniami audytowymi. Rozliczenie wydatkowanych środków publicznych i odpowiedzialności za polityki publiczne realizowane przez ministerstwo to było i nadal jest nasze zobowiązanie. Niezwłocznie zlecieliśmy więc odpowiednie kontrole, część z nich przynosi już pierwsze wyniki, na kolejne czekamy.

Co udało się ustalić?
– Jedną z pierwszych decyzji było odwołanie głównej komendantki Ochotniczych Hufców Pracy Małgorzaty Zwiercan – tej samej, która zasłynęła swego czasu głosowaniem „na cztery ręce” [w 2016 roku jako posłanka oddała w Sejmie głos za Kornelą Morawiecką]. Pod jej kierownictwem OHP jako instytucja, mówiąc najdelikatniej, nie funkcjonowała w sposób prawidłowy. Prowadzimy także merytoryczną ocenę programów, które były realizowane przez poprzedni rząd, z każdej strony oglądamy każdą złotówkę.

Jak na zmiany reagowali pracownicy ministerstwa?
– Zapewne różnie, w ministerstwie pracuje ponad 800 osób. Ale działania, które podejmujemy wewnętrznie, są przyjmowane pozytywnie. Jesteśmy w trakcie wprowadzania

zmian, które mają poprawić warunki pracy.

Będą podwyżki?
– W pewnych zakresach tak, nie mówię tutaj o jakimś ogromnym wzroście wynagrodzeń, ale o zapewnieniu ich na godnym poziomie. Ważne było dla mnie jednoznaczne zakomunikowanie osobom pracującym w resorcie, że oceniana będzie merytoryczna strona pracy urzędników, a nie to, jakie mają poglądy i czy zwracają się do mnie per ministra, czy pani minister. Wiemy, że straszono, że postawimy wszystko na głowie, dlatego uspokajamy, że interesuje nas merytoryczna praca.

Kiedy i na jakich warunkach będzie w życie renta wdowia?
– Na najbliższym posiedzeniu Sejmu odbędzie się pierwsze czytanie projektu obywatelskiego, który był wypracowany wspólnie przez organizacje związkowe OPZZ i Lewicę. Ministerstwo ten projekt popiera, zgodnie zresztą z umową koalicyjną. Są w budżecie zarezerwowane środki na to, żeby jeszcze w 2024 roku renta mogła zacząć obowiązywać – przy czym od chwili przyjęcia ustawy do wdrożenia przepisów może minąć kilka miesięcy potrzebnych do przygotowania systemu informatycznego do wypłat.

Osobiście ma pani czuć na rynku pracy, który od czasu pandemii gwałtownie się zmienia. Będą zmiany w kodeksie pracy?
– Od lat artykułowana jest nie tylko przez Lewicę, ale ostatnio także przez Komisję Europejską, a przede wszystkim przez kolejne młode pokolenia rozpoczynające pracę, potrzeba uporządkowania polskiego rynku pracy, wprowadzenia euro-



FOT. MATEUSZ SKWARCZEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Jestem zwolenniczką tego, żeby każda osoba pracująca, niezależnie od formy pracy, jaką świadczy, była bezpieczna na rynku pracy

pejskich standardów zatrudnienia. I w to wpisuje się walka z umowami śmieciowymi i skutkami tego uśmieciovienia. Oczywiście to nie jest tak, że każda umowa cywilnoprawna, każda inna forma współpracy niż umowa o pracę z definicji jest śmieciowa. Absolutnie nie, są sytuacje, w których takie formy są jak najbardziej właściwe i adekwatne do rzeczywistości. Ale tam, gdzie istnieje ewidentny stosunek pracy, pracy pod nadzorem, w określonym czasie, w określonym miejscu, a ktoś udaje się, że nie istnieje, zastępując umowę o pracę umową cywilnoprawną lub wypychając kogoś na samoza-

trudnienie, tam mamy do czynienia z umową śmieciową.

Czyli jest pani zwolenniczką uszczelniania systemu, a nie uelastyczniania prawa pracy?
– Jestem zwolenniczką tego, żeby każda osoba pracująca, niezależnie od formy pracy, jaką świadczy, była bezpieczna na rynku pracy, miała zabezpieczone prawo do odpoczynku, prawo do tego, żeby raz na jakiś czas zachorować i nadal czuć finansowe bezpieczeństwo. Uważam też, że oprócz zwalczania patologii rynku pracy musimy także zredukować ich skutki. Dlatego rozpoczęliśmy w ministerstwie wstępne prace nad uregulowaniem kwestii stażu pracy – tak żeby wliczało się do niego także zatrudnienie na podstawie umów cywilnoprawnych czy jednoosobowej działalności gospodarczej.

Przed nami decyzje o realizacji kamienia milowego zapisanego w Krajowym Planie Odbudowy, który zakłada przeciwdziałanie segmentacji rynku pracy poprzez wprowadzenie jakiegoś rodzaju oskładkowania innych umów niż tylko umowa o pracę.

Żeby umowy o pracę stały się atrakcyjne, to może nie wystarczyć. Ma pani inne sposoby na podorzędu?
– Atrakcyjne dla kogo? Bo dla pracowników są atrakcyjne, a dla pracodawców będą atrakcyjne wtedy, kiedy nie będzie opłacało się zastępować ich innymi umowami. Pracujemy również nad rozwiązaniami korzystnymi wprost i przede wszystkim dla pracodawców – tak aby obowiązki związane z zatrudnieniem na umowę o pracę nie były odczuwane jako obciążenia. Zgodnie z umową koalicyjną chcemy, żeby chorobowe było opłacane od pierwszego dnia choroby przez ZUS. To duże wyzwanie, nie tylko ze względu na koszty dla budżetu, ale także ze względu na konieczność uniknięcia ryzyka wzrostu fikcyjnych zwolnień czy wypy-

chania pracowników na chorobowe, np. w okresach mniejszej liczby zamówień albo zleceń.

A co z premiami, które firmy wypłacają pracownikom za niekorzystanie z L4? To powszechna praktyka w handlu, magazynach, fabrykach. Pracownicy chodzą chorzy do pracy, by nie stracić kilkuset złotych z pensji. Pani zdaniem takie premie powinny być zabronione?
– Naszym celem powinno być to, żeby pracownicy nie chodzili chorzy do pracy, i temu ma służyć L4 płatne przez ZUS od początku choroby, powinien on nam przyświecać także, gdy mówimy o praktykach typu premia za niechorowanie. Premie za brak chorowania w mojej ocenie nie powinny mieć miejsca.

Ma pani trudną rolę bycia rzecznikiem pracowników w rządzie, który skupia się na dbaniu o przedsiębiorców.
– W polskiej polityce od lat proporcja upominania się o przedsiębiorców i o pracowników nie jest zachowana. Ale to, że często głos pracowników był słabiej słyszalny, nie znaczy jeszcze, że wszyscy pracodawcy mieli świetnie i lekko. Nie można porównać sytuacji wielkich międzynarodowych korporacji z rodzimym średnim czy małym przedsiębiorstwem. Oczywiście jestem ministrami wywodzącą się z lewicy i na docenieniu pracy i pracowników zależy mi szczególnie. Wiem też, że wiele propracowniczych rozwiązań przynosi korzyści dla samych przedsiębiorców, dla uczciwych pracodawców. Chciałabym, żeby przestrzeganie kodeksu pracy było normą, a bycie uczciwym pracodawcą się opłacało. ●

Rozmawiała Maria Korcz

wyborcza.biz

• **Cała rozmowa na Wyborcza.biz**

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34300825

„OGŁOSZENIE O WSZCZĘCIU POSTĘPOWANIA O STWIERDZENIE NABYCIA SPADKU PO BARBARZE KOZAR”
W Sądzie Rejonowym w Prudniku, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 452/23 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Barbarze Kozar c. Stanisława i Józefy (PESEL: 76080316522) zmarłej w dniu 23 lutego 2023r. w Prudniku, ostatnio stale zamieszkałej w Czyżowicach.
Wzywa się spadkobierców po Barbarze Kozar, aby w terminie 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili się do tut. Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY 34300998

Gdy trudno opowiedzieć o śmierci

Poradnik, jak radzić sobie z żałobą na

ODESZLI.PL

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34300820

§ Sąd Rejonowy dla Łodzi-Widzewa w Łodzi wzywa uprawnionych do odbioru depozytu sądowego, złożonego na podstawie postanowienia tutejszego Sądu z dnia 14 marca 2011 roku, wydanego w sprawie VIII Ns 176/10, zezwalającego Skarbowi Państwa - Generalnej Dyrekcji Dróg Krajowych i Autostrad Oddział w Łodzi na złożenie do depozytu sądowego kwoty 15.522 zł (piętnaście tysięcy pięćset dwadzieścia dwa złote) tytułem odszkodowania za wywłaszczonej nieruchomości w postaci działki gruntu oznaczonej numerem 41/4, położonej w obrębie W-37 miasta Łodzi, które zostało ustalone decyzją Wojewody łódzkiego z dnia 20 maja 2010 roku, znak GN.VII./GN.IV.7724/133/A-1/2008/MKo/DG - w terminie 10 (dziesięciu) lat od dnia doręczenia wezwania do odbioru uprawnionemu lub z upływem 10 (dziesięciu) lat od upływu terminu, na który dokonano niniejszego ogłoszenia.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34300829

„OGŁOSZENIE O WSZCZĘCIU POSTĘPOWANIA O STWIERDZENIE NABYCIA SPADKU URSZULI FERDYNUS”
W Sądzie Rejonowym w Prudniku, I Wydział Cywilny, pod sygn. akt I Ns 505/22 toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Urszuli Ferdynus urodzonej 17 listopada 1945 r. zmarłej w dniu 4 października 2006 r. w Głuchotazach (PESEL: 45111700942) ostatnio stale zamieszkałej w Głuchotazach.
Wzywa się spadkobierców po Urszuli Ferdynus, aby w terminie 3 miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili się do tut. Sądu i udowodnili swoje prawa do spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postępowaniu o stwierdzenie nabycia spadku.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34294922

Work Centre

WORK CENTRE (KRAZ 7098) PRACA W HOLANDII !!!

Praca w ogrodnictwie, rolnictwie i na produkcji.

Poszukiwani kandydaci za znajomością języka obcego i prawem jazdy.

Osoby zainteresowane prosimy o wypełnienie formularza na stronie **www.workcentre.com.pl** lub kontakt telefoniczny **77-441-06-54, 533-966-678, 533-111-037, 533-155-868** oraz **797-351-037**.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY Kraj/34300655

OGŁOSZENIE
W Sądzie Rejonowym dla Warszawy Pragi-Południe w Warszawie II Wydział Cywilny w sprawie II Ns 320/22 z wniosku Teresy Pedryc i Zbigniewa Kuczyńskiego toczy się postępowanie o **stwierdzenie nabycia spadku po Bronisławie Grzybowski** urodzonej 28 stycznia 1906 r. w Białymstoku, a zmarłej 16 kwietnia 1983r. w Warszawie, Faustynie Grzybowski, urodzonej 20 listopada 1900 r. w miejscowości Rogowa, a zmarłym w dniu 31 grudnia 1985r. w Warszawie i Stanisławie Grzybowski, urodzonej 8 sierpnia 1917r. w miejscowości Budy Żosine a zmarłej dnia 19 grudnia 2000r. w Żyrardowie, ostatnio stale zamieszkałych w Warszawie przy ulicy Elsterskiej 11 m.3. Wzywa się wszystkich spadkobierców, aby w terminie 3 miesięcy od daty ukazania się ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Syndyk Masy Upadłości Przedsiębiorstwa Budowlano – Usługowego „BUDOPOL” S.A. z siedzibą w Bydgoszczy – w upadłości likwidacyjnej sprzedaje z wolnej ręki
Prawo wieczystego użytkowania zabudowanej nieruchomości gruntowej – działki Nr 53/4 o powierzchni 2.656 m2, położonej przy ul. **Fordońskiej 199 w Bydgoszczy** wraz z prawem własności wielokondygnacyjnego budynku biurowego o pow. użytkowej 2.946 m2 oraz budynku garażowego o pow. 78,5 m2, oznaczonej BY18/00064548/6, za cenę wywoławczą wyn. **3.960.000 zł.** (trzy miliony dziewięćset sześćdziesiąt tysięcy złotych) + 23 % podatku od towarów i usług Vat w przypadku złożenia przez strony zgodnego oświadczenia, że wybierają opodatkowanie transakcji podatkiem Vat (art. 43 ust. 1 pkt 10 ustawy o Vat). Warunkiem nabycia nieruchomości jest złożenie przez oferenta oświadczenia o woli nabycia nieruchomości (wyposażenia) na wartość oszacowania wyn. **31.000 zł.** netto (trzydzieści jeden tysięcy złotych netto) + podatek Vat, znajdujących się w opisanej wyżej nieruchomości.
Zainteresowani oferenci zobowiązani są do złożenia pisemnych ofert na zakup nieruchomości w zamkniętych kopertach z dopiskami „**Oferta Budopol - Fordońska**” u Rady Prawnego J. Nadarzewskiego w Bydgoszczy przy ul. Gdańskiej 51/6 w **terminie 14 dni** od dnia ukazania się ogłoszenia oraz wpłacenia wadium, w wysokości **10%** cen wywołania w **terminie 14 dni** od dnia ukazania się ogłoszenia na rachunek bankowy P. B. – U. BUDOPOL S.A. w Bydgoszczy - upadłości likwidacyjnej nr 76 1440 1215 0000 0000 1746 0129. Ze stanem technicznym i prawnym oraz regulaminem można zapoznać się przy ul. Fordońskiej 199 w Bydgoszczy. Tel: **606 886 796, 508 100 297** lub Sądzie Rejonowym w Bydgoszczy XV W. Gospodarczym przy ul. Toruńska 64a. Syndyk zastrzega sobie prawo do odmowy dokonania wyboru oferty jak również prawo do odwołania lub unieważnienia postępowania bez podania przyczyny.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Syndyk Masy Upadłości Pomorskiego Przedsiębiorstwa Eksportu Budownictwa INTERBUD S.A. z siedzibą w Bydgoszczy – w upadłości
oferuje do sprzedaży z wolnej ręki:

- udział wynoszący 1/7 w prawie własności nieruchomości lokalowej (**miejsce parkingowe**) położonej w **Bydgoszczy, przy ul. Zakątek 13**, dla której prowadzona jest księga wieczysta KW Nr BY18/00216554/2 za cenę wywołania wynoszącą **24.200 zł. netto** (dwadzieścia cztery tysiące dwieście złotych netto) + 23% VAT.
- urządzenie wielofunkcyjne marki Konica Minolta typ Bizhub 215 za cenę wywołania wynoszącą **640 zł. netto** (sześćset czterdzieści złotych netto) + VAT.

Ze stanem technicznym i prawnym przedmiotów sprzedaży opisanym w przygotowanych w operatach szacunkowych można zapoznać się w aktach sprawy upadłościowej w Sądzie Rejonowym XV Wydział Gospodarczy przy ul. Toruńska 64A w Bydgoszczy (Sygn. akt XV GUp 457/19) oraz w siedzibie syndyka przy ul. Fordońskiej 199 w Bydgoszczy. Szczegółowych informacji dot. sprzedaży oraz regulamin sprzedaży można uzyskać po wcześniejszym kontakcie pod nr tel. 606 886 796 i 508 100 297.

Zainteresowani oferenci zobowiązani są w terminie 14 dni od dnia publikacji ogłoszenia do złożenia pisemnych ofert na zakup udziału bądź ruchomości w zamkniętych kopertach z dopiskiem „Oferta nr 1 Interbud – udział 1/7” lub „Oferta nr 2 Interbud – Konika Minolta” na adres syndyka przy ul. Fordońskiej 199, (85-739) w Bydgoszczy.

Syndyk zastrzega sobie prawo odmowy dokonania wyboru oferty, prawo do odwołania lub unieważnienia postępowania bez podania przyczyny oraz prawo do odstąpienia od oferty.

Kraj/34300809

Polemika z Witoldem Gadomskim

Dajmy sobie spokój z antyatomową propagandą

Bez inwestycji w dużą energetykę jądrową Polska nie przeprowadzi bezpiecznej i skutecznej transformacji energetycznej w kierunku neutralności klimatycznej

Wiech

3 lutego na łamach „Gazety Wyborczej” ukazał się artykuł red. Witolda Gadomskiego pod tytułem „Dajmy sobie spokój z wielką elektrownią atomową”. Wnioski wypływające z tego materiału były następujące: Polska powinna zrezygnować z budowy dużej jednostki jądrowej i zamiast tego postawić na rozwój tzw. SMR-ów, czyli modułowych reaktorów jądrowych. Teza ta jest niezwykle niebezpieczna.

Po pierwsze, odrzuca istniejące i sprawdzone rozwiązania.

Po drugie, nawołuje do postawienia na technologie, które są na wstępnej fazie rozwoju, co sprawia, że koszty i terminy związane z nimi to ruletka. Ale po kolei.

Red. Gadomski rozpoczyna swój wywód od wyliczenia problemów związanych z projektami dużych elektrowni jądrowych. Zwraca uwagę na problemy biznesowe spółki Westinghouse oraz opóźnienia w realizacji projektów jądrowych Vogtle oraz V.C. Summer w USA. Te trudności to fakty.

Warto spojrzeć najpierw na zaburzoną realizację przedsięwzięć – projekty te były albo poważnie opóźnione (Vogtle), albo porzucone (V.C. Summer). I osadzić w szerszej perspektywie. I zauważyć, że równolegle Westinghouse sprzedawał swoje technologie do Chin. Chodzi o cztery jednostki typu AP1000, które stanęły w elektrowni Sanmen (prowincja Zhejiang) oraz w elektrowni Haiyang (prowincja Szantung). Budowa pierwszego z nich (jednostka Sanmen 1) rozpoczęła się w kwietniu 2009 roku; reaktor został oddany do użytku komercyjnego w roku 2018. Oznacza to, że w Chinach udało się zbudować blok jądrowy w zaledwie 9 lat.

Wnioski? Problemy z realizacją dużych projektów jądrowych nie wynikają z kwestii technologicznych, czyli z tego, że atom jest „duży”, bo przecież w Chinach i USA budowano te same jednostki. Chodzi o specyfikę prawnobiznesową – modele finansowe, regulacyjne struktury bezpieczeństwa, sposób prowadzenia inwestycji. Z porażek tych wyciągnięto wnioski.

A co z problemami finansowymi samego Westinghouse'u? Faktycznie, ze względu na porażki w Vogtle i V.C. Summer Westinghouse złożył w 2017 roku wniosek o stwierdzenie upadłości, choć trzeba traktować to raczej jako manewr księgowy. W 2018 roku spółka została kupiona od właściciela (japońskiej firmy Toshiba) za 4,6 mld dol. przez Brookfield Business Partners, fundusz inwestycyjny z Kanady. Jednakże w 2022 roku podmiot ten ogłosił, że zamierza sprzedać swoje jądrowe aktywo.

Według agencji Reuters wartość Westinghouse'u oscyluje wokół 10 mld dol. Oznacza to, że spółka podwoiła swoją wycenę w ciągu ostatnich 6 lat – co wskazuje, jak inwestorzy patrzą obecnie na realizację projektów jądrowych. Patrząc bardzo pozytywnie



• Budowa elektrowni atomowej Haiyang w Chinach według projektu Westinghouse'u FOT. AFP/EAST NEWS

– i ma to zakorzenienie w odnotowanym na świecie renesansie jądrowym.

Autor zwraca też uwagę na decyzję Czech dotyczącą wykluczenia Westinghouse'u z przetargu na rozbudowę elektrowni Dukovany. To prawda, Praga podjęła taką decyzję, ale jej motywy pozostają niejasne. Czesi ograniczyli się do lakonicznego komunikatu, że „oferta złożona przez Westinghouse nie spełniła niezbędnych warunków”. Porównywanie rozbudowania istniejącej elektrowni jądrowej do budowy nowej jednostki nie wydaje się w pełni odpowiednie.

Red. Gadomski pisze również o problemach fińskiej elektrowni Olkiluoto, która przekroczyła swój harmonogram i budżet. Nie dodaje jednak, że sytuacja tej jednostki wynikała m.in. z faktu, że z przedsięwzięcia wycofał się wykonawca, czyli niemiecki Siemens, który zdecydował się na ten krok po katastrofie w Fukushima w 2011 roku. Ktoś mógłby zauważyć, że były to dość wyjątkowe okoliczności; red. Gadomski wychodzi tu z pewnym anegdotycznym dowodem przeciwnym: „tymczasem prawo Murphy'ego mówi, że jeśli coś może pójść źle, to pójdzie źle”. Warto zapamiętać ten cytat, gdyż będzie później potrzebny do właściwej analizy artykułu.

Warto również stwierdzić, że budowany przez lata blok w elektrowni Olkiluoto został oddany do użytku w 2023 r., koszt uzyskiwanej z niego energii to ok. 42 euro za MWh (czyli ok. 182 zł). Tymczasem w 2023 r. średnie ważne ceny energii elektrycznej z dostawą następnego dnia notowane na warszawskiej Towarowej Gieldzie Energii sięgały ok. 529 zł za MWh.

W tym momencie warto wskazać, że Westinghouse nie jest jedynym partnerem branym pod uwagę przy realizacji polskiego projektu jądrowego. W grę wchodzi np. koreańskie KHNP, które było w stanie postawić w terminie elektrownię jądrową w Barakah w Zjednoczonych Emiratach Arabskich. Jest to o tyle ważne, że ZEA to kraj, który – podobnie jak Polska – nie miał doświadczenia w sektorze jądrowym. A tymczasem Koreańczycy zdołali postawić tam bloki jądrowe

Najlepszy moment na budowę elektrowni jądrowej w Polsce był 50 lat temu. Drugi najlepszy jest dziś

we w 9 lat (licząc od momentu rozpoczęcia budowy do oddania jednostki do użytku komercyjnego).

Jednakże najbardziej karkołomnym zabiegiem zastosowanym przez red. Gadomskiego jest zwrócenie się w stronę małych modułowych reaktorów jądrowych (tzw. SMR, Small Modular Reactors) jako pełnoprawnej alternatywy dla dużego atomu. Jest to o tyle niesamowite, że autor przez całą pierwszą połowę swego tekstu walczy z „wielkimi elektrowniami jądrowymi”, tłumacząc, że przekraczają harmonogramy i budżety, po czym chwali SMR-y, dla których wyznaczenie precyzyjnych harmonogramów i budżetów jest... niemożliwe.

W przypadku SMR-ów nie da się na razie oszacować ani kosztów, ani czasu budowy. Żaden z cywilnych SMR-ów nie działa. Jednostki, które można nazwać SMR-ami, pracują w wojskowych warunkach, np. jako napędy łotniskowców czy okrętów podwodnych. Nie da się ich prosto przeszczepić na użytek cywilów ze względu na ryzyka związane z obiegiem paliwa. Trwają prace nad stworzeniem pierwszej komercyjnej oraz cywilnej technologii małych reaktorów. Te przedsięwzięcia, z którymi wiązano duże nadzieje z uwagi na ich zaawansowanie proceduralne, wpadły ostatnio w tarapaty – komercyjny projekt tej firmy został niedawno skasowany w USA. Jako powód wskazano „zbyt małe zainteresowanie rynkowe projektem”.

Sytuacja z NuScale nie oznacza jednak, że SMR-y trzeba skreślić z planów energetycznych. Nie – to prężnie rozwijająca się technologia, nad którą pracują takie firmy jak Rolls-Royce, GE Hitachi czy EDF. Jednakże trzeba je traktować jako dodatek do miksu energetycznego, który być może pojawi się za jakiś czas. Terminy oraz kosz-

ty związane z wdrożeniem SMR trudno nawet dokładnie szacować. Można więc sięgnąć teraz pamięcią do przytoczonego przez red. Gadomskiego prawa Murphy'ego: „jeśli coś może pójść źle, to pójdzie źle”.

Jakimś trafem autor materiału zastosował w pełni ten argument do dużych bloków jądrowych, ale kompletnie pominął go przy analizie projektów SMR. Mało to spójne.

Czytelnik odnosi wrażenie, że red. Gadomski jest niezwykle sceptyczny względem dużych bloków i przy tym bezrefleksyjnie optymistyczny co do SMR-ów. Autor tego artykułu pragnie jeszcze raz podkreślić, że powyższe stwierdzenia nie są argumentami przeciwko małym reaktorom – tylko podważaniem stwierdzenia, jakoby SMR-y mogły służyć za pełnoprawną alternatywę dla dużego atomu. Tak nie jest, a dziennikarz nawołujący do kaskowania zaawansowanych projektów budowy wielkoskalowych jednostek jądrowych na rzecz małych reaktorów godzi w bezpieczeństwo energetyczne państwa – zamienia się ono bowiem w hazard, w ramach którego leżąca na stole technologia ma ustąpić rozwiązaniom, jakie mogą – ale nie muszą – pojawić się w najbliższych latach.

Tezy red. Gadomskiego neguje także ogólnosiwiatowa sytuacja w sektorze jądrowym, gdzie widać zwrot w kierunku budowy nowych, dużych bloków. Według wyliczeń Międzynarodowej Agencji Energii (IEA) do 2026 roku produkcja energii jądrowej będzie rosła o 3 proc. rocznie, osiągając rekordowe pulapy.

Red. Gadomski swoim artykułem tworzy też pewien sofizmat, który może być używany w dyskusjach na temat polskiej energetyki jądrowej przez przeciwników tej technologii. Mówi przecież, żeby atom budować – tylko nie taki, jak faktycznie się buduje. Przeciwnicy atomu mogą więc stwierdzać: „wcale nie jesteśmy przeciwnikami energetyki jądrowej; chcemy tylko jej lepszej, tańszej i szybszej wersji”. Tymczasem jest to odwracanie realizacji projektu ad calendas graecas.

Parafrazując chińskie przysłowie: najlepszy moment na budowę elektrowni jądrowej w Polsce był 50 lat temu. Drugi najlepszy jest dziś. Nie warto więc iść tokiem myślenia red. Gadomskiego i przekładać ten projekt w nadziei na pojawienie się SMR-owego deus ex machina. Jeśli małe reaktory jądrowe pojawią się na rynku, to będą dobrym wsparciem dla miksu tworzonego na podstawie OZE i dużego atomu. Ale stawianie tylko na SMR-y to ruletka, na którą Polska nie może sobie pozwolić. ●

Jakub Wiech

• Teksty w dziale Opinie wyrażają poglądy autorów i nie muszą odzwierciedlać stanowiska redakcji

Jakub Wiech
– prawnik,
dziennikarz
i publicysta,
redaktor naczelny serwisu
Energetyka24

Jak nagrywano „We Are the World”

SPOTKANIE NA SZCZYCIE

Film „Najwspanialsza noc w historii popu” przedstawia kulisy powstania słynnej piosenki „We Are the World”. Ogląda się to jak najlepszy komediodramat.

Jarek Szubrycht

Okazywany w serwisie Netflix dokument „Najwspanialsza noc w historii popu” Bao Nguyena to nostalgiczne spojrzenie w przeszłość muzyki rozrywkowej. Westchnienie za złotą erą amerykańskiego popu, oparte głównie na nagraniach archiwalnych, ale opatrzone współczesnym komentarzem wybranych uczestników tamtych wydarzeń. To opowieść o karkołomnej sesji nagraniowej charytatywnego singla „We Are the World”, który w 1985 r. najpierw zjednoczył w studiu dziesiątki gwiazd, a następnie fanów, w przekonaniu, że świat jest odrobinę lepszym miejscem, niż mogłoby się wydawać.

PRAWIE WSZYSCY ŚWIĘCI

Inspiracja przyszła z Wielkiej Brytanii. W 1984 r. Bob Geldof i Midge Ure, przejęci plagą głodu w Etiopii, skrzyknęli znaczne grono kolegów po fachu (m.in. Bono, Phila Collinsa i George’a Michaela) do nagrania charytatywnego, świątecznego singla „Do They Know It’s Christmas?”. Pozazdrościł im Harry Belafonte, afroamerykański piosenkarz i aktywista, który nie bez racji zauważył, że skoro biali Europejczycy podjęli wspólny artystyczny wysiłek, by pomóc cierpiącym mieszkańcom Afryki, nie wypada, by czarni Amerykanie milczeli. Tym bardziej że wreszcie grali pierwsze skrzypce w amerykańskim show-biznesie, a nawet mogli się pochwalić globalnymi zasięgami.

Utwór napisali Lionel Richie i Michael Jackson, a zaproszenie do współpracy w pierwszej kolejności wystosowano do Steviego Wondera... Na szczęście szybko zrozumiano, że kryterium rasowe nie jest najszcześniejszym pomysłem, i zaczęła się budowa wielopokoleniowej, eklektycznej i ekumenicznej koalicji, która miała połączyć skrajności. Od białych pieśniarzy country po herosów czarnego bluesa, od słodkogłosych wokalistek pop po zdarte gardła rockowych wyjadaczy.

Entuzjastyczna narracja towarzysząca „We Are the World” od premiery piosenki przekonuje nas, że w nagraniu wzięli udział wszyscy święci. Nie do końca. Nie wszyscy mogli – jednym ze wspomnianych w filmie przykładów jest metalowy zespół



• Huey Lewis, Quincy Jones i Michael Jackson podczas nagrywania jednej z piosenek wszech czasów

FOT. NETFLIX

Van Halen. Nie wszyscy skorzystali z okazji – jak Prince, na którego czekano do końca i którego nieobecność była wówczas szeroko komentowana, ale trudno nie wierzyć teorii, że albo uchylił się od konfrontacji z Michaeliem Jacksonem, albo nie chciał sugerować, że pozostaje z nim w przyjaznych stosunkach, a najpewniej jedno połączone z drugim.

Wreszcie nie wszystkich zaproszono. Jak się okazuje, wybierano pomiędzy Cyndi Lauper a Madonną i zdecydowano się na Cyndi. Z dzisiejszej perspektywy wydaje się to grubym błędem, ale kto wie, może to właśnie dowód przenikliwości twórców piosenki? Może wiedzieli, że z nagraniem partii solowej Madonny może być kłopot, bo jest z tych wokalistek, które – tak to ujmę – potrzebują w studiu sporo czasu i zachodu, a na chórek była już zbyt popularna?

NOC PEŁNA CUDÓW

Wrażenie robią już same przygotowania do sesji. Mowa przecież o czasie sprzed komórek i internetu, więc tego rodzaju przedsięwzięcie było wielkim organizacyjnym wyzwaniem. Jeszcze trudniejsze okazało się zapanowanie nad tłumem nietuzinkowych postaci ściśniętych na niewielkiej powierzchni studia nagraniowego – dziś zabawne wydają się wysiłki podpitego Ala Jarreau czy nieobecnego duchem, przedziwnie onieśmielonego Boba Dylana, ale zgaduję, że 28 stycznia 1985 r. nikomu z tego powodu nie było do śmiechu. Do tego nie każdy chyba zauważył karteczkę z napisem „Ego zostaw przy wejściu”, zawie-

Kolejnego „We Are the World” nie będzie, bo już minął czas cudownej naiwności, wiary w to, że artyści nie tylko powinni, ale też mogą zmieniać świat

szoną przez Quincy’ego Jonesa, nie wszyscy też podeszli do sesji z podobnym entuzjazmem, różne były wizje samej piosenki. Fakt, że udało się to nagrać w jedną noc, należy potraktować w kategorii cudu.

Biorąc to wszystko pod uwagę i słuchając prób, czasem dość rozpaczliwych, nagrania jednej linijki tekstu przez wielkich skądinąd artystów, nie można nie nabrać szacunku do Quincy’ego Jonesa. „Najwspanialsza noc w historii popu” to jeden z tych dokumentów, które uświadamiają szerokiej publiczności, jak ważna w muzyce popularnej jest rola producenta. Gdyby odesłać do domu dowolnego wykonawcę, albo i trzech, „We Are the World” nic by nie straciło. Gdyby Quincy Jones nie był tak wybitnym artystą, genialnym strategiem i urodzonym psychologiem oraz człowiekiem anielsko wręcz cierpliwym, cały ten projekt spaliłby na panewce.

TEGO ŚWIATA JUŻ NIE MA

Film ogląda się z poczuciem, że „We Are the World” jest produktem czasu i okolicz-

ności, że dzisiaj taka piosenka nie mogłaby powstać. Nie chodzi mi bynajmniej o kategorie estetyczne, o to, że inaczej się gra i śpiewa, nie jest to też rzecz artystycznie tak doniosła, że trzeba do niej podchodzić na kolanach. Chodzi o to, że takie spotkanie na szczycie, podczas którego dzieje się magia, dziś już jest po prostu niemożliwe do zorganizowania. Nikomu nie chciało- by się przyjechać, spotykać, stresować śpiewaniem na oczach innych gwiazd. Każdy nagralby swoją partię w domowym studiu, wysłał mailem i niech sobie Quincy to klei.

Swoją drogą, w filmie wypowiadają się m.in. Lionel Richie, Bruce Springsteen i Cyndi Lauper, ale właśnie Quincy’ego Jonesa, który co prawda ma 91 lat, ale wciąż pracuje, o nic nie zapytano. Uważam, że to karygodne niedopatrzenie ze strony twórców. Chyba że bali się podstawić mu mikrofon pod nos po niesławnym wywiadzie dla „GQ” z 2018 r., w którym Beatlesów nazwał najgorszymi muzykami na świecie. Może zamiast pielęgnować legendę „We Are the World”, zechciałby ją zepsuć. Tym bardziej szkoda.

Kolejnego „We Are the World” nie będzie, bo już minął czas cudownej naiwności, wiary w to, że artyści nie tylko powinni, ale też mogą zmieniać świat. Nie wiem, czy sesja nagraniowa „We Are the World” naprawdę była najwspanialszą nocą w historii popu, ale na pewno była jednym z ostatnich wstrząsów wtórnych po kontrkulturowej, napędzanej muzyką rewolucji lat 60. Możemy tylko oglądać i wzdychać, że kiedyś było lepiej. ●

• Film „Najwspanialsza noc w historii popu” w reżyserii Bao Nguyena można zobaczyć w serwisie Netflix.

Goran Bregović wraca do Polski

POWINNOŚĆ
ARTYSTY

FOT. ADRIANNA BOCHENK / AGENCJA WYBORCZA.PL

– Mój koncert w Moskwie miał miejsce dzień przed inwazją. Myślę, że dzień przed inwazją nawet prezydent Ukrainy nie wiedział, że do niej dojdzie.

Jarek Szubrycht

Pod koniec XX w. Goran Bregović cieszył się w Polsce powodzeniem, którego mogłyby mu pozazdrościć gwiazdy z pierwszych miejsc listy „Billboardu”. Najpierw twórczość muzyka z Sarajewa poznali i docenili fani alternatywy – za sprawą znakomitych ścieżek dźwiękowych do głośnych w owym czasie filmów, z „Undergroundem” Emira Kusturicy na czele. Chwilę później pokochały go masy, przede wszystkim za wydany ćwierć wieku temu album „Kayah i Bregović”. Kolejna płyta „Daj mi drugie życie”, nagrana w 2001 r. z Krzysztofem Krawczykiem, też była wielkim przebojem.

Nic dziwnego, że Bregović często nad Wisłą był i koncertował z powodzeniem, w różnych konfiguracjach i z rozmaitym repertuarem.

NA KRYMIE, ALE NIE
W OŚWIĘCIMIU

Aż do 2015 r. Miał być wtedy gwiazdą Life Festivalu, nieprzypadkowo odbywającego się w Oświęcimiu, którego edycja odbywała się tamtego roku pod hasłem „Artyści przeciwko wojnie”. Kłopot w tym, że niewiele wcześniej wystąpił w Sewastopolu na Krymie od ponad roku okupowanym przez Rosjan.

„My, na Bałkanach, zawsze czujemy wielkość idącą ze Wschodu, z Rosji. Moim zdaniem Zachód od zawsze ma paranoję na tym tle” – miał wtedy powiedzieć. W sieci wciąż znaleźć można zapis konferencji prasowej z Sewastopola, ale choć Goran nie może się w niej Rosji i Rosjan nachwalić, powyższy cytat, który krążył również w polskich mediach, nie jest pre-

czyzyny. On mówił o Wschodzie, zapewne szerzej pojmowanym niż putinowska Rosja. „Rosję” dodała tłumaczka – i wszyscy podchwycili jej wersję, także polskie media.

Tak czy owak, koncert się odbył i trudno było odebrać go inaczej niż jako legitymizację nowych władz Krymu, bo takich symbolicznych gestów owe władze wówczas bardzo potrzebowały.

Chwilę później Bregović miał grać w Kijowie, ale koncert odwołano. Oświadczył też mu podziękował.

„Publiczne wypowiedzi artysty po koncercie, w których Bregović bagatelizował fakt wystąpienia na zaanektowanych bezprawnie terenach, a także jednocześnie dystansował się od potępienia zbrojnej interwencji Rosji w Ukrainie, są sprzeczne z wartościami, które przyświecają twórcom i pomysłodawcom Life Festivalu. (...) Dlatego też, kierując się wyznawanymi przez nas wartościami, postanowiliśmy zrezygnować z powierzenia Goranowi Bregovićowi misji ambasadora tegorocznej edycji Life Festivalu oraz jednocześnie zdecydowaliśmy się na odwołanie jego występu, zaplanowanego w ramach tegorocznego festiwalu” – pisali organizatorzy festiwalu w oficjalnym oświadczeniu.

POLSKA PRZYMYKA OKO

Postawa oświęcimskiego festiwalu spotkała się w kraju ze zrozumieniem, ale o sprawie szybko zapomniano. Pewnie dlatego nie wypominano Bregovićowi incydentu z wiosny 2015 r., kiedy pojawiał się w Polsce na kolejnych, entuzjastycznie przyjmowanych koncertach.

Sytuacja się jednak zmieniła. W lutym 2022 r. Bregović koncertował w Moskwie, w przeddzień pełnoskalowej inwazji Rosji na Ukrainę. Nigdy publicznie nie przyznał się do błędu, nie opowiedział jednoznacznie przeciwko polityce Putina – a nie był

by przecież pierwszym, który długo się ludził, więc trudno się spodziewać, by akurat muzykowi z Bałkanów ktoś miał za złe błędy z przeszłości. Ciągnie się za nim opinia muzyka prorosyjskiego czy wręcz proputinowskiego, przez co odmówiono mu wjazdu do Moldawii latem 2023 r. (choć tego lata swobodnie koncertował razem z Kayah na Męskim Graniu).

Na wrzesień tego roku zapowiedziano trzy duże polskie koncerty Bregovicia i Kayah, celebrujące 25 lat ich wspólnej płyty – w Warszawie, Gliwicach i Trójmieście. Tym razem jednak o kontrowersjach wokół Bregovicia pamiętali twórcy „Podcastu”, podcastu o popkulturze lat 90., którzy niedawno poświęcili odcinek płycie „Kayah i Bregović”.

„Nie chcemy szafować określeniami typu »haniebne«, »bezczelne« czy »kompromitujące«, chociaż naszym zdaniem byłyby one jak najbardziej na miejscu” – napisali o planowanych koncertach w poście na Facebooku, który błyskawicznie rozszedł się w mediach społecznościowych. W komentarzach przybywało głosów oburzenia, temat podchwyciły też media tradycyjne.

KULISY WYWIADU

Ani artyści, ani organizatorzy koncertów nie komentowali zarzutów. 25 stycznia przedstawicielka Charm Music, agencji przygotowującej jesienne koncerty Bregovicia i Kayah, zaproponowała mi jed-

nak wywiad z artystą. Niestety, nie w formie dialogu pomiędzy dwoma osobami, mogłem zadać mu kilka pytań mailem. Po wahaniach redakcja zgodziła się na tę formę, planując opatrzenie wywiadu odpowiednim wstępem.

Chodziło nie o danie Bregovićowi trybuny, ale o możliwość ustosunkowania się przez niego, nawet w tak asekuracyjnej formule, do zarzutów. Do czytelników należy ocena, czy muzyk wypada w tych tłumaczeniach przekonująco.

Agencja poprosiła mnie, by nie skupiać się wyłącznie na kontrowersjach związanych z występami Bregovicia na Krymie i w Rosji. Zacząłem więc od pytań o kwestie czysto muzyczne, a do pytań, na które wszyscy domagamy się odpowiedzi, przeszedłem na końcu.

Kilka dni po przesłaniu pytań otrzymałem mail z odpowiedziami na moje pytania, nagrany przez artystę po angielsku w formie wiadomości głosowych. Nie mogłem niestety dopytać o nic już po poznaniu odpowiedzi.

Poniższa rozmowa nie kończy kontrowersji wokół koncertów Kayah i Bregovicia ani rozmowy o zasadności organizowania jego koncertów. Traktujemy ją jako głos Gorana Bregovicia w sprawie, do której trzeba nieustannie wracać – nie tylko w kwestii napaści Rosji na Ukrainę, ale i odpowiedzialności za słowo oraz powinności artystów.

ROZMOWA Z
GORANEM BREGOVIĆEM
kompozytorem

JAREK SZUBRYCHT: Brakowało panu koncertów w pandemii? Czy może od występów na żywo woli pan pracę twórczą, pisanie i nagrywanie nowej muzyki?

GORAN BREGOVIĆ: Kiedy to się zaczęło, miałem dwie przygotowane do wydania płyty. Pierwsza już się ukazała, druga z nich prawdopodobnie wyjdzie jesienią tego roku. To będzie prosta rzecz – orkiestra dęta grająca do tańca i picia. W pewnym sensie podobało mi się w czasie pandemii. Po długiej przerwie odkryłem, jakie to mile pobyć chwilę w jednym miejscu, nie podróżować po świecie jak szalony.

Przy moim studiu w Belgradzie mam spory ogród. Nie tylko komponowałem i nagrywałem, ale też troszczyłem się o ziemniaki, pomidory i ogórki. Doglądałem moich jabłek i brzoskwiń.

Pierwsza ze wspomnianych płyt to „The Belly Button of the World”. Proszę opowiedzieć o okolicznościach jej powstawania.

– „Belly Button of the World” to koncert skrzypcowy zamówiony przez Bazylikę Saint-Denis pod Paryżem dla Orchestre National de France. Kiedy zabrałem się za komponowanie tego koncertu, natrafiłem w internecie na pewną historię. Dziennikarka CNN Rebecca Weiss podczas pobytu w Jerozolimie usłyszała o pewnym starym Żydzie, panu Horowitzu, który od lat przychodził codziennie o tej samej porze pod Ścianę Placzu, żeby się pomodlić. Weiss postanowiła nakręcić o nim materiał, przyszła więc pod Ścianę Placzu, poczekała aż Horowitz skończy się modlić, po czym zagaіła: „Panie Horowitz, przychodzisz pan tu porozmawiać z Bogiem od wielu lat, prawda?”. „Tak, od 60 lat, codziennie. Mówię mu, że te wojny pomiędzy chrześcijanami, Żydami i muzułmanami muszą się skończyć, żeby chociaż nasze dzieci żyły w pokoju” – powiedział. „I jakie pan ma przemyślenia po tych wszystkich latach rozmów z Bogiem?” – zapytała reporterka. Pan Horowitz chwilę pomyślał, po czym odpowiedział: „Mam wrażenie, jakbym mówił do ściany”.

Jeśli jakiś morał płynie z tej opowieści, to taki, że najwyraźniej Bóg nie miał w planach nauczania nas, jak ze sobą żyć. Sami musimy się tego nauczyć.

Skrzypce były pierwszym instrumentem, na którym nigdy nie nauczyłem się dobrze grać. Zacząłem myśleć o nich jak o metaforze, bo na skrzypcach można grać na trzy różne sposoby. Chrześcijaństwo to muzyka klasyczna. Muzyka klezmerska wymaga innej techniki, tak grają Żydzi. Zupełnie innej techniki wymaga muzyka orientalna, tak na skrzypcach grają muzułmanie. Napisałem więc mój koncert skrzypcowy dla trzech skrzypków – każdy z nich wywodzi się z jednej z tych trzech tradycji. Na płycie usłyszysz więc orkiestrę, wokalistów, ale przede wszystkim trzech skrzypków – jednego z Tunisu, drugiego z Tel Awiwu, a trzeciego z Belgradu. Razem reprezentują te trzy wielkie tradycje – i to właśnie jest pepek świata.

Oczywiście, zdaję sobie sprawę z tego, że jestem uprzywilejowany, mogąc zrobić coś, co w świecie polityki czy religii jest niemożliwe. W muzyce te rzeczy mogą harmonijnie współegzystować. Od kiedy zeszliśmy z drzew, tysiące lat temu, nie nauczyliśmy się, jak razem żyć. Jeśli nie nauczymy się tego w XXI w., nasza cywilizacja skończy tragicznie. Każdy z nas powinien więc włożyć w tę naukę trochę wysiłku. Ja mogę to zrobić jako kompozytor.

Zapowiadane na wrzesień trzy polskie koncerty z Kayah cieszą się bardzo dużym zainteresowaniem. Odbývają się z okazji jubileuszu płyty „Kayah i Bregović”, jednego z największych muzycznych hitów w Polsce lat 90. Spodziewał się pan aż takiego sukcesu, przystępując do tej pracy?

– Ta płyta była małym cudem. Nagraliśmy ją bardzo szybko, w warunkach nie do końca profesjonalnych. Nie chciałem zamykać się w studiu, więc wynajęliśmy dom na obrzeżach Warszawy i tam wszystko nagraliśmy. Nikt nie był w stanie przewidzieć tego, co się stało. Inna sprawa, że jeśli nie spodziewasz się cudów, nie zajmujesz się muzyką. Z tą płytą się udało. Nie tylko Polska odkryła mnie wtedy za sprawą płyty nagraanej z Kayah, a chwilę wcześniej także dzięki mojej muzyce filmowej również ją odkrywałem Polskę. Bardzo często w Polsce bywałem, grałem mnóstwo koncertów, w wielu miastach. Mam tu przyjaciół. Cieszę się, że część mojego życiorysu wiąże się z Polską.

Muzyka z Jugosławii nie była w Polsce szczególnie popularna, na pewno nie można porównać tego z sukcesem „Kayah i Bregović” – jak pan myśli, dlaczego właśnie wtedy i właśnie ten materiał tak bardzo pokochali Polacy?

– Myślę, że udało nam się stworzyć bardzo polską płytę. Sądzę, że wielu Polaków dumnych ze swojej polskości odkryło za sprawą tego albumu, jak bogata może być polska tradycja muzyczna. Dotknąłem tylko skromnej jej części, dzięki Kayah i góralom. Teksty również były świetne. Tym wszystkim Polakom i jednemu obcokrajowcowi udało się nagrać bardzo polską płytę. Może zresztą jako obcokrajowiec mogłem dostrzec piękno polskiej muzyki tradycyjnej wyraźniej niż polscy kompozytorzy z tamtego czasu, może ten dystans był pomocny.

W 2015 r. odwołano pana występ na Life Festivalu w Oświęcimiu ze względu na koncert na okupowanym Krymie. Spodziewał się pan również w tym roku głosów protestu związanych z planowanymi w Polsce koncertami? Może ktoś z polskich partnerów – z agencji koncertowej lub otoczenia Kayah – sugerował, że może do nich dojść?

– Tamten koncert na Krymie był częścią tournée po Ukrainie, zorganizowanego przez ukraińską agencję. Dla mnie to był tylko jeden z wielu koncertów na trasie, podczas której wystąpiłem w kilku ukraińskich miastach. Gdybym wiedział, że ten występ będzie miał takie konsekwencje polityczne, oczywiście nigdy bym tego nie zrobił.

Dlaczego zdecydował się pan zagrać w 2022 roku w Moskwie? Większość zagranicznych artystów omija Rosję, zdając sobie sprawę z tego, że taka wizyta może być odczytywana jako głos poparcia dla polityki Putina.

– Koncert w Moskwie miał miejsce dzień przed inwazją. Myślę, że dzień przed inwazją nawet prezydent Ukrainy nie wiedział, że do niej dojdzie. Pamiętam, że wyjazd z Moskwy okazał się niezwykle skomplikowany, bo wszystkie lotniska zostały zamknięte. Musieliśmy lecieć z trzema przesiadkami, żeby się dostać do Belgradu.

Zarzuca się dziś panu między innymi, że „sympatyzuje pan z reżimem Putina” i „tęskni za Jugosławią i Związkiem Radzieckim”. Może pan się odnieść do tych oskarżeń?

– Jest mi smutno, kiedy słyszę takie rzeczy. Trudno będzie znaleźć innego zagranicznego artystę, który koncertował w Ukrainie równie często jak ja. Na mojej płycie „Champagne for Gypsies” znajdziesz dwie przepiękne piosenki, które nagrałem z Gogol Bordello – bardzo utalentowanym ukraińskim artystą, chyba najbardziej docenianym na świecie [Eugene Hütz, lider tej nowojorskiej grupy, która określa swój styl jako gypsy punk, pochodzi z Ukrainy]. Trudno więc zrobić ze mnie wroga Ukrainy.

Jestem z Sarajewa i tę samą traumę, której Ukraińcy dziś doświadczają, wynieśliśmy z naszej wojny. Jak więc miałbym być po stronie kogoś, kto wywołał wojnę, a przeciwko komuś, kto się broni? To nie ma sensu.

„Będziemy się bawić i będziemy radosni. To jest najlepszy sposób, żeby sprzeciwić się wojnie” – zapowiadał pan ten niedoszły koncert w Oświęcimiu. Dobrym sposobem na protest przeciwko wojnie jest też publiczna deklaracja sprzeciwu, potępienie agresora. Czy takiego gestu możemy się spodziewać z pana strony, przed koncertami lub w trakcie?

– Razem z Kayah znajdziemy sposób, by pokazać się jako artyści i istoty ludzkie, ale też, żeby jednocześnie dobrze się bawić. Do zobaczenia na koncertach, będzie szaleństwo. Jeśli nie zaszalejesz, nie jesteś normalny. ●

Grammy 2024

Rekord Swift

Nadzieje „Barbie” niespełnione, Taylor Swift z kolejnym wielkim sukcesem, a Michelle Obama z drugą statuetką w swoim życiu.

Łukasz Kamiński

Choć Grammy, najważniejsze muzyczne nagrody, to prawie setka kategorii, to tak naprawdę najgorętsze, najwięcej emocji, dyskusji i sporów wywołujące są cztery: nagranie roku, album roku, piosenka roku oraz nowy artysta/artystka roku.

Statuetkę za piosenkę roku otrzymała Billie Eilish (utwór „What Was I Made For?”), najlepszą nową artystką została Victoria Monét, nagranie roku przypadło Miley Cyrus (utwór „Flowers”), a Grammy za album roku trafiło do rąk Taylor Swift (album „Midnights”).

W tym roku, mimo że więcej nominacji zdobyła SZA, to wszystkie oczy i uszy skierowane były na Taylor Swift.

Tegoroczne Grammy były dla niej słodko-gorzkie. Po raz siódmy w karierze przegrała w wyścigu po piosenkę roku, ale odebrała statuetkę za najlepszy popowy album wokalny (płyta „Midnights”). Przy okazji artystka ogłosiła, że za dwa miesiące z hakiem ukaże się jej nowa płyta „The Tortured Poets Department”.

Choć Swift otrzymała jedynie dwie statuetki z sześciu, do których była nominowana, to i tak wieczór w Los Angeles może uznać za udany – ustanowiła nowy rekord, żaden inny artysta czy artystka nie zdobyli w swojej karierze czterech statuetek w kategorii najlepszy album roku.

W sumie przyznano statuetki w aż 94 kategoriach. Poza najbardziej medialnymi kategoriami, czyli wielką czwórką, ciekawie i dyskusyjnie działo się też w innych kategoriach.

Wśród tegorocznych laureatów znaleźli się m.in. zespół, który w Polsce rozgrzeje publiczność przed koncertami Taylor Swift, czyli Paramore z płytą „This Is Why” (najlepszy album rockowy), boygenius z płytą „The Record” (najlepszy album alternatywny), Killer Mike z „Michael” (rapowy album roku).

To był też świetny wieczór dla zeszłorocznej dwukrotnej laureatki – najlepsza nowa artystka oraz najlepszy jazzowy album wokalny roku – Samara Joy. W tym roku ta wschodząca gwiazda jazzu otrzymała Grammy za najlepsze wykonanie jazzowe.

Swoją dziewiątą statuetkę odebrała Joni Mitchell wyróżniona za „Joni Mitchell At Newport” (folkowy album roku). Julian Marley & Antaeus zostali docenieni za płytę „Colors Of Royal” (reggae’owy album roku). Jeden z tegorocznych bohaterów Open’era, czyli Skrillex, zwyciężył razem z kolegami – Fred again.. & Flowdan – z „Rumble” (najlepsze taneczne/

elektroniczne nagranie roku). Metallica, która w lipcu dwukrotnie wystąpi na Narodowym, odebrała nagrodę za „72 Seasons” (najlepsze wykonanie metalowe).

Jury wyróżniło też muzykę „Moonage Daydream”, czyli psychodelicznego portretu Davida Bowiego jako artysty i człowieka (najlepsza ścieżka z filmu muzycznego). Beatlesi, mimo że nie istnieją już ponad pół wieku, otrzymali kolejną statuetkę, tym razem za klip do „I’m Only Sleeping” (najlepszy teledysk roku). Wśród nagrodzonych znalazła się też Michelle Obama za „The Light We Carry: Overcoming In Uncertain Times” (najlepszy audiobook, nagranie mówione).

Swoje pierwsze Grammy otrzymali też Depeche Mode – choć tak naprawdę to nie im je przyznano, tylko grupie Wet Leg za zremiksowanie utworu „Wagging Tongue” pochodzącego z najnowszej płyty Depeszy „Memento Mori”.

Ciekawie też było w kategoriach związanych z filmem, w tym najlepsza kompilacyjna ścieżka dźwiękowa oraz najlepsza ścieżka dźwiękowa. W tej pierwszej kategorii nominowane były płyty „Aurora” (Daisy Jones & The Six), „Czarna Pantera: Wakanda w moim sercu” (różni artyści), „Guardians of the Galaxy, Vol. 3: Awesome Mix, Vol. 3” (różni artyści), „Weird: The Al Yankovic Story” (Weird Al Yankovic), a laureatką została „Barbie” (różni artyści).

Z kolei w kategorii najlepsza ścieżka dźwiękowa nominowani byli: „Barbie” (kompozytorzy: Mark Ronson i Andrew Wyatt), „Czarna Pantera: Wakanda w moim sercu” (Ludwig Göransson), „Fabelmanowie” (John Williams), „Indiana Jones i artefakt przeznaczenia” (John Williams). Zwyciężył „Oppenheimer” (Ludwig Göransson).

W wymienionych powyżej kategoriach „Barbie” jedynie zaznaczyła swoją obecność. Natomiast kategorię najlepsza piosenka dla mediów wizualnych bezlitośnie zdominowała. Aż cztery piosenki na pięć nominowanych pochodziły z filmu Greta Gerwig: „Barbie World” (Nicki Minaj, Ice Spice Featuring Aqua), „Dance The Night” (Dua Lipa), „I’m Just Ken” (Ryan Gosling) oraz laureatka „What Was I Made For?” (Billie Eilish). Jedyłą piosenką spoza lalkowego świata była „Lift Me Up” (Rihanna) z filmu „Czarna Pantera: Wakanda w moim sercu”.

Do tych sześciu nominacji dla „Barbie” dołożyć należy jeszcze pięć. Piosenka „Barbie World” była nominowana w kategorii najlepszy utwór rapowy piosenka „What Was I Made For?” w kategorii najlepszy solowy występ popowy, no i oczywiście aż dwie piosenki: „Dance The Night” oraz „What Was I Made For?” powalczyły w kategorii piosenka roku (zwycięstwo). W końcu „What Was I Made For?” nominowane było w kategorii nagranie roku.

W sumie na 11 nominacji „Barbie” zgarnęła jedynie trzy. Apetyty na pewno były większe. ●



Taylor Swift
album roku



Billie Eilish
piosenka roku



Victoria Monét
najlepsza nowa artystka



Miley Cyrus
nagranie roku

FOT. REUTERS/
DAVID SWANSON (2)
MIKE BLAKE (2)

Witamy
w Polsce

Cykl
Witamy w Polsce
tworzy zespół
kilkudziesięciu
reporterów
pracujących
w 33 redakcjach
„Wyborczej”
w całym kraju

PIOTR KOZŁOWSKI

KRZYCZAŁ,
ŻE JEST CHORY

Policjanci zapytali, czy mama pojedzie z nimi na oględziny zwłok. Niewiele powiedzieli: zasłabł na ulicy i zmarł.

Anna Kramek-Khadka, siostra Tomasza, co chwilę musi się poprawiać, bo wciąż używa czasu teraźniejszego. Siedzimy w ciasnej kuchni, dzieci bawią się w sąsiednim pokoju.

– Czy mam żal do policjantów? Ogromny. Moja 13-letnia córka, która z Tomkiem była bardzo zżyta, mówi, że ich nienawidzi. Tłumaczę, że tak nie można, ale dla niej to ogromna trauma. A ja cały czas myślę: przecież to byli doświadczeni policjanci. Ta interwencja wcale nie musiała się skończyć śmiercią – mówi Kramek-Khadka.

Po 3,5 roku od nowa rusza proces policjantów, którzy odpowiadają za przekroczenie uprawnień i nieumyślne spowodowanie śmierci.

FAKTY

Jest 25 sierpnia 2020 roku, ciepło i słonecznie. O godz. 15.20 dyżurny Komendy Miejskiej Policji w Lublinie wysłał patrol w okolice sklepu Stokrotka przy ul. Droga Męczenników Majdanka. Według relacji świadków ubrany w czerwoną koszulkę i czarne spodnie dresowe agresywny mężczyzna zaczepia i atakuje przypadkowych przechodniów. Krzyczy i jest mocno pobudzony. Ktoś twierdzi, że uderzył w twarz kobietę na przejściu dla pieszych. Jeden ze zgłaszających jest w stałym kontakcie z dyżurnym. Idzie za mężczyzną, relacjonując przebieg sytuacji.

Na miejsce jedzie nieoznakowany radiowóz. W hondzie civic są ubrani po cywilnemu policjanci wywiadowcy. To aspirant sztabowy Arkadiusz K. (w służbie od 22 lat) oraz sierżant sztabowy Wojciech K. (od ośmiu). Widzą mężczyznę w pobliżu ruchliwego skrzyżowania Drogi Męczenników Majdanka z ul. Wolską i Łęczyńską. Jest już bez koszulki, trzyma ją w ręce.

To 36-letni Tomasz Kramek. Policjanci widzą, jak pyta o coś starszą kobietę. Ona patrzy na zegarek, odpowiada. Tomasz odchodzi, ale po kilku krokach odwraca się i kopie kobietę w pośladki i plecy. Z samochodu wyskakuje Arkadiusz K. Krzyczy: „Stój, policja!” i zaczyna gonić Kramka. Ten po chwili odwraca się do policjanta i rzuca, żeby go zostawić, bo jest chory psychicznie.

Policjanci nie odpuszczają. Arkadiusz K. wyciąga pojemnik z gazem i rozpyła go w stronę uciekającego, ale jest za daleko. Wtedy do akcji wkracza Wojciech K., który nadal jest w nieoznakowanym radiowozie. Wyprzedza biegnących i wjeżdża w bramę Agencji Mienia Wojskowego przy ul. Łęczyńskiej. W ten sposób przecina drogę ucieczki Tomaszowi Kramkowi. Po chwili wyskakuje z samochodu i razem z drugim policjantem zatrzymują mężczyznę.

Tyle faktów. Kilkadziesiąt minut później Tomasz Kramek już nie żyje, a relacje policjantów rozjeżdżają się z tym, co mówią świadkowie, z opiniami biegłych i stanowiskiem prokuratury.

WUJEK

Anna Kramek-Khadka dobrze pamięta 25 sierpnia 2020 roku. Jest w ciąży, ale czuje się dobrze. Razem z dwójką dzieci jedzie do rodziców. Jej mama ma zająć się dwuletnim synem, ona ze starszą córką

jadą do pobliskiego centrum handlowego, żeby kupić buty i przybory do szkoły, która zaczyna się za kilka dni.

Tomasza nie ma w domu. Ma 36 lat, ale mieszka z rodzicami. Od 2006 roku leczy się na schizofrenię paranoidalną. Słyszy głosy, czasem mówi do siebie, że ktoś chce go otruć, ale regularnie odwiedza specjalistów. Po skończeniu zawodówki łapie się dorywczych prac. Budowa, sprzątanie. Dostaje leki, ostatnio też zastrzyki. W ośrodku Misericordia uczy się samodzielności, występuje w przedstawieniach. A do tego morsuje, stara się być aktywny i zdrowo jeść.

– Mieliliśmy świetny kontakt, dogadywaliśmy się, on uwielbiał moją Majkę i Stasia. Nie bałam się ich z nim zostawić, czasem z Mają do sklepu jeździł, na plac zabaw chodził. Jak widział, że któraś z sąsiadek ma ciężką siatkę, to biegł, żeby pomóc. Czasem coś do siebie mówił. Ale nikogo nie ranił, nie bił. Nikomu nie zagrażał. Przepraszał, jakby miał świadomość tej choroby, tego, co się z nim dzieje. Mówiłam mu wtedy: „Daj spokój, nie masz za co przepraszać” – Annie łamie się głos.

Tamtego dnia Tomasz pojechał do wujka, miał się u niego wykapać, coś zjeść i po południu wrócić. O godz. 15 wujek dzwoni, że Tomek poszedł już na autobus. Anna i dzieciaki czekają. Mają uwielbia wujka, który ją rozpieszcza. Wspólnie grają na komputerze, rysują, chodzą na spacer.

– Jak gdzieś wychodził, to zawsze sam dzwonił, że wraca. A tu nic. Poszłam po coś do samochodu, widziałam, jak przyjeżdża autobus. Myślałam, że może już jest, ale nie... Za chwilę przyszli policjanci. Zapytali, czy mama pojedzie z nimi na oględziny zwłok. Wszyscy w szoku. Pytamy: „Co się stało?”. A oni, że nic nie wiedzą. Po prostu szedł ulicą, przewrócił się i zmarł. Tak powiedzieli. Nic o żadnej interwencji – wspomina Anna.

Jej matka jedzie z policjantami do prosekto-
rium, ale okazuje się, że jest za późno na oględziny.
W międzyczasie Anna i jej partner wertują internet.
Znajdują informacje o policyjnej interwencji. Podej-
rzewają, że mogło chodzić o Tomka. Mama Anny
wraca. Policjanci mają przyjechać po nią następne-
go dnia z samego rana.

– Nie mija godzina i znów policja. Jeszcze cia-
ło nie było rozpoznane. Mama zapytała, czy ma-
ją nakaz. Opowiedzieli, że nie, ale że mogą w każdej
chwili mieć. No więc ich wpuściła. Z kamerką zaczę-
li wszystko przeglądać. Było ich z 15. Nie mieścili się
w mieszkaniu, bo rodzice mają kawalerkę. Szuka-
li czegoś, może narkotyków? Ale Tomek nic nie brał.
Tabakę tylko wciągał, bo rzucił palenie. Nic nie zna-
leźli, chyba byli z tego powodu niepokieszeni – opo-
wiada Anna.

Policjanci nie mówią o tym wprost, ale w nie-
których mediach padają sugestie, że mężczyzna
mógł być pod wpływem narkotyków czy dopalaczy.
A na lokalnych portalach rusza lawina komenta-
rzy. Większość w obronę bierze policjantów. „Jedne-
go chwastu mniej”, „**** z nim”, „Niech gówno zdy-
cha”, „Jedynymi ofiarami tego przykrego w skutkach
zdarzenia są interweniujący POLICJANCI – szkoda
chłopaków. (...)” – to tylko niektóre z nich.

ŚLEDZTWO

Jeszcze tego samego dnia Anna Kamola z biura pra-
sowego komendy wojewódzkiej policji tłumaczy me-
diom, że kiedy mężczyzna zaczął tracić przytom-
ność, funkcjonariusze od razu przystąpili do reani-
macji. Według pierwszych relacji wszystko miało
przebiegać zgodnie z procedurami: – W trakcie in-
terwencji policjanci używali jedynie siły fizycznej
– zaznacza.

Rusza prokuratorskie śledztwo. Policjant Woj-
ciech K. relacjonuje: „Najpierw ja podbiegłem do
niego z przodu, chciałem go złapać za barki, wpa-
dłem na niego z całym impetem i doszło do szarpa-
niny (...)”. Opowiada, jak chwycił mężczyznę za gło-
wę, odciągnął od ogrodzenia, a później – już z kole-
gą – unieruchomił. Tomasz miał krzyczeć: „Puśćcie
mnie, bo was zabiję!”.

Funkcjonariusz (sam ma 186 cm wzrostu i wa-
ży ponad 100 kg) opisuje go jako wysokiego, dobrze
zbudowanego i umięśnionego. Tomasz „podnosi ich
jak dzieci”, jest niezwykle pobudzony. Mundurowi
proszą o wsparcie i karetkę. Później kilka razy pona-
glają dyżurnego, żeby ratownicy się pospieszyli.

Sytuacja jest dynamiczna. Policjanci zmieniają
się miejscami. Wojciech K. siada na nogi wyrywają-
cego się mężczyzny.

Arkadiusz K. – jaki pisze w notatce służbowej
– trzyma go „za plecy i ramiona”, żeby nie wstał. To
właśnie wtedy z ust Tomasza Kramka zaczyna lecieć
piana. Po chwili uspokaja się, „jakby mu odcięło za-
silańie” – wspomina policjant. Według niego natych-
miast zaczyna się reanimacja, ale Kramek ma na rę-
kach kajdanki, co zdecydowanie ją utrudnia. Trze-
ba go rozkuć.

Kiedy przyjeżdża pogotowie, na ratunek jest już
za późno. Po 30 minutach ratownicy przerywają re-
animację. Są w stanie tylko stwierdzić zgon.

Prokuratorskie śledztwo w sprawie przekro-
czenia uprawnień i nieumyślnego spowodowania
śmierci toczy się dość długo. Sprawą zajmuje się też
Biuro Spraw Wewnętrznych. Funkcjonariusze prze-
glądają monitoring i zauważają, że relacja Wojcie-
cha K. nie pokrywa się z zapisem z kamery. Na na-
graniu widać, jak po wyjściu z radiowozu rusza do
Kramka i w wysoku zadaje mu cios łokciem w oko-
lice twarzy. A następnie łapie za szyję, podnosi do
góry i powala na asfalt. Z kolei Arkadiusz K. używa
gazu i kajdanek.

BSW wnioskuje o wszczęcie postępowania dys-
cyplinarnego wobec Wojciecha K. i wyjaśnienia
działań Arkadiusza K. Obaj od razu idą na dłuższe
zwolnienie. W notatce czytamy, że zebrany mate-
riał wskazuje na „uzasadnione przypuszczenie nie-
właściwego zastosowania (...) środków przymusu
bezpośredniego w postaci siły fizycznej i kajdanek”
przez policjantów.

Mimo że zeznania i notatki funkcjonariuszy są
zbieżne, to przeczą faktom. Tomasz Kramek wcale
nie był wysportowanym, umięśnionym olbrzymem.
Ma ok. 180 cm wzrostu i waży niespełna 100 kg. Nie
miał sportowej sylwetki, ale lekko wystający brzu-
szek. Na fotografii sprzed kilku miesięcy widzę
szczupłego mężczyznę średniego wzrostu. Ostatnio
miał tyć z powodu nowych leków.

W ciele Kramka nie wykryto żadnych narkoty-
ków. Jedynie terapeutyczne stężenie hydroksyzyny,

czyli silnego leku uspokajającego stosowanego m.in.
przez chorych z zaburzeniami nerwicowymi czy
przy pobudzeniu psychoruchowym.

Po sekcji biegły stawia hipotezę, że do śmier-
ci mogło dojść w mechanizmie afiksji restrykcyj-
nej, czyli „niewydolności krążeniowo-oddech-
owej występującej w sposób nagły u osoby w sta-
nie pobudzenia psychoruchowego, któremu to-
warzyszy utrudnienie wykonywania oddechów,
np. w wyniku przymusowego unieruchomienia”.
Śledczy zamawiają kolejną opinię. Potwierdza hi-
potezę. „Opisana powyżej sekwencja zdarzeń po-
przedzających zgon Tomasza Kramka należy do
najbardziej typowych i powtarzających się oko-
liczności (...) naglej śmierci w przypadkach za-
trzymania przez organy porządkowe” – konclu-
duje kolejny biegły.

Natomiast biegły od taktyki i techniki interwen-
cji służb mundurowych po obejrzeniu nagrania do-
daje, że tuż przed wyprowadzeniem ciosu przez
pierwszego z policjantów Tomasz Kramek nie prze-
jawiał żadnej agresji, miał ręce ułożone wzdłuż tułowia.
Działanie policjantów określa jako nieprawidło-
we, jeśli chodzi o „intensywność i technikę stosowa-
nia siły fizycznej”.

BŁĘDY

Część świadków mówi wprost, że widziała, jak je-
den z policjantów klęczał na Kramku. Jedna z ko-
biet, która stała w korku, dodaje, że słyszała „char-
czący” głos.

– Wydawało mi się, że był przez tych dwóch męż-
czyn tak mocno dociskany kolanami, że brakowało
mu już siły – opowiada.

Kolejna kobieta przejeżdżająca przez bramę,
gdzie trwała interwencja, zeznała, że widziała, jak
Arkadiusz K. klęczał kolanami na plecach zatrzy-
manego. A ten krzyczał: „Puść mnie, chcę zadzwo-
nić do mamy!”, „Mamo, pomóż mi!” i „Puść mnie,
skurwysynu!”.

Biegli z zakresu medycyny sądowej są zdania, że
podjęta przez policjantów resuscytacja nie mogła
przynieść efektu. Dlaczego? Bo najlepszym rozwią-
zaniem oprócz uciskania klatki piersiowej byłaby
jednoczesna wentylacja płuc. Policjanci nie mieli do
tego odpowiednich narzędzi. Nie zdecydowali się też
na metodę usta-usta, co biegli uznali za zrozumiałe
w kontekście trwającej pandemii.

Popelnili też jednak inne błędy. Rozpoczę-
te dość szybko uciskanie klatki piersiowej prze-
rwali po zaledwie 17 sekundach. Zrobili to, żeby
rozkuć ręce zatrzymanego. Wrócili do reanima-
cji po blisko dwóch minutach, co biegli określa-
ją jako „nieprawidłowe i niezrozumiałe”. Doda-
ją też, że te kilkanaście sekund nie miało żadnego
znaczenia dla akcji ratunkowej. A to oznacza, że
rozpoczęła się ona de facto po ponad dwóch mi-
nutach od czasu, gdy zatrzymany przestał oddy-
chać. Mimo tego biegli nie podjęli się jednoznacz-
nej oceny, czy mogło to z całą pewnością wpły-
nąć na „finalny brak skuteczności podjętej akcji
reanimacyjnej”.

Prokuratura oskarżyła obu policjantów o prze-
kroczenie uprawnień i doprowadzenie do nie-
umyślnego spowodowania śmierci Tomasza
Kramka. Grozi za to do pięciu lat więzienia. Śled-
czy uznali, że dociskając mężczyznę kolanami i nie
reagując na jego prośby o uwolnienie, przyczyni-
li się do śmierci. Nie zareagowali, nawet gdy zoba-
czyli toczącą się z ust pianę. Natomiast uderzenie
łokciem w głowę, a następnie krótkotrwałe dusze-
nie zatrzymanego uznano za nieadekwatne do sy-
tuacji, bo Kramek nie stwarzał wówczas zagroże-
nia dla innych osób.

Policjanci nie przyznają się do winy.

JAK SEN

Rodzice Anny i Tomasza byli oskarżycielami posił-
kowymi w sprawie.

– Po śmierci Tomka mama się załamała. Strasz-
nie to przeżyła. Zaczęła palić po dwie-trzy pacz-
ki dziennie, odpalała jednego papierosa od drugie-
go. Wzięłam ją do siebie, żeby pomogła mi z dzieć-
mi, żeby trochę zapomniała o tym, co się wydarzy-
ło. I rzeczywiście dzieciaki dawały jej sporo ener-
gii, ale rozprawy ją przytłaczały. Przestała jeść.
W końcu zaciągnęliśmy ją do lekarza. Diagnoza:
rak przełyku. We wrześniu ubiegłego uroku do-
stała wewnętrznego krwotoku i zmarła. Miała tyl-
ko 65 lat. I myślę, że gdyby nie śmierć Tomka, to
jeszcze by długo żyła – mówi Anna Kramek-Khad-
ka. Ojciec w ostatnich miesiącach też mocno pod-
upadł na zdrowiu.

– Widziałam, jak dużo mamę ta sprawa kosztu-
je. Mówiłam: „Nie musisz chodzić do sądu”. Ale ona
się upierała. Teraz ją rozumiem – mówi Kramek-
Khadka. – Powiedziałam sobie, że muszę tę sprawę
doprowadzić do końca. Czuję, że jestem to Tomkowi
winna. Strasznie mi go brakuje i dzieciom też. Cza-
sami mam wrażenie, że to jakiś sen. Że się obudzę
i wszystko będzie dobrze. Ale wstaję i nie jest.

Arkadiusz K. i Wojciech K. po przedstawieniu za-
rzutów zostają zawieszni. Później pierwszy odcho-
dzi na emeryturę. Drugiego zwalnia komendant. Py-
tamy rzecznika Komendy Miejskiej Policji w Lubli-
nie, jakie jeszcze działania podjęto w związku z tą
sprawą.

– Po zakończeniu wewnętrznych czynności
wykorzystano materiały w ramach lokalnego do-
skonalenia zawodowego policjantów w zakre-
sie metod i form wykonywania przez policjan-
tów konwojów i doprowadzeń – odpowiada nad-
kom. Kamil Gołębiowski, oficer prasowy KMP
w Lublinie.

Anna Kramek-Khadka: – Najpierw zginął To-
mek, później zmarła mama. Nikt nas za to nie
przeprosił, nikt nie czuje się winny. Od czasu
śmierci Tomka, jak widzę policję, to coś takiego mi
się robi w środku, że gdybym musiała ich wezwać,
to nie wiem, czy otrzymałabym odpowiednią po-
moc. Nie ufam im, nie czuję się bezpiecznie. Wręcz
przeciwnie. Dlatego muszę tę sprawę doprowadzić
do końca. Najbliższych już nie odzyskam, ale win-
ni muszą ponieść karę. ●

Tomasz Kramek wcale nie był
wysportowanym, umięśnionym
olbrzymem. W jego ciele nie
wykryto też żadnych narkotyków,
jedynie terapeutyczne
stężenie leku uspokajającego

Olek, który nie przeszkadza nartom

– Przyjdzie taki moment, gdy w końcu wytrzyma ciśnienie i doskoczy do podium Pucharu Świata.

ROZMOWA Z

JANEM SZTURCEM

byłym trenerem Małysza, Żyty i Zniszczoła

DARIUSZ WOŁOWSKI: W 2012 roku Aleksander Zniszczoł został wicemistrzem świata juniorów. A potem spadł gdzieś na długie lata. Dopiero teraz, tuż przed 30. urodzinami, zaczyna się zbliżać do czołówki Pucharu Świata. Musiało to trwać aż tak długo?

JAN SZTURC: Lepiej późno niż wcale. Nie ma jednego wzorca, jednej drogi, której wybór gwarantuje sukces. Skoki to piękna, ale też trudna dyscyplina.

Jednym, choćby takiemu Gregorowi Schlierenzauerowi, przejście z juniorów do seniorów nie sprawiło żadnych problemów. Tymczasem Manuel Fettner, wychowanek tej samej szkoły austriackiej, uważanej za najlepszą na świecie, dopiero w wieku 36 lat sięgnął po medale olimpijskie. Gregor skończył skakać, gdy miał 31 lat, Manuel w tym samym wieku jeszcze na dobrą sprawę nawet nie zaczął. A przecież w 2001 roku został wicemistrzem świata juniorów. Potem pracował, starał się, bez sukcesów. Los wynagrodził mu to znacznie później. Możemy zadać sobie pytanie: ilu skoczków podobnych do Fettnera zniechęciło się po drodze i zakończyło kariery przed osiągnięciem czegośkolwiek? Skoki to sport dla cierpliwych. Wyjątkowo cierpliwych. Nie dają żadnej gwarancji, tylko pracę, pracę i pracę.

W Polsce skoczkowie dojrzewają wyjątkowo późno. Piotr Żyła pierwszy tytuł mistrza świata zdobył w wieku 34 lat, drugi w wieku 36.

– W ogóle apogeum możliwości skoczka narciarskiego się przesuwają. W Pucharze Świata dominują nie nastolatki, ale zawodnicy dojrzały. Dojrzały i często po przejściach. Przecież Niemiec Andreas Wellinger po zdobyciu tytułu mistrza olimpijskiego w Pjongczangu spadł potem do FIS Cup, czyli zawodów III ligi w skokach. Odbił się od dna i dziś jest wiceliderem klasyfikacji generalnej Pucharu Świata. Naprawdę karierę



• **Aleksander Zniszczoł podczas tegorocznego zawodów w Bad Mitterndorf**

FOT. MATTHIAS SCHRADER

rę skoczka bardzo trudno zaplanować. Nikt nie przewidzi kontuzji, zapaści formy. Czasem sam zawodnik i żaden z jego trenerów nie rozumieją, co się dzieje, że jest źle.

Wróćmy do Aleksandra Zniszczoła. W Zakopanem był czwarty po pierwszej serii, po drugiej spadł na jedenaste miejsce. W sobotę w Willingen był trzeci, po drugim skoku wylądował na ósmej pozycji. W niedzielę prowadził i znowu spadł na ósme miejsce. Nasuwa się wniosek o słabej odporności psychicznej.

Jeśli jest w formie, Zniszczoł ma potencjał na zawodnika z czołówki Pucharu Świata na każdej skoczni. Przed rokiem nastąpił przełom. Olek uwierzył, że czołowa dziesiątka jest w jego zasięgu

– Do wygrywania w Pucharze Świata trzeba dojrzeć. Nie tylko fizycznie, ale też psychicznie. Mam wrażenie, że szczególnie w niedzielę w Willingen Olek pomyślał o podium. Oczami wyobraźni zobaczył siebie na nim. Proszę się nie dziwić, każdy o tym marzy, pracuje na to latami. To się dzieje automatycznie. Dopiero z doświadczeniem skoczek nabywa umiejętności wyłączania się, odcinania od myślenia o sukcesie. Jak mówił Adam Małysz, „celem są dwa równe skoki”. Kiedy pierwszy jest dobry, nie myślę, co mogę osiągnąć, ale skupiam się na zadaniu w drugiej serii. Na poprawnym wykonaniu wszystkich elementów skoku. Wtedy jest szansa na dobry rezultat, przy szczęśliwym zbiegu okoliczności. Nie zapominajmy, że skok zależy też od warunków wietrznych na skoczni.

Czyli Zniszczoł nabędzie odporności psychicznej?

– Tak sądzę. W Zakopanem i Willingen zapłacił frycowe. Nie był przyzwyczajony, że w drugiej serii staje na rozbiegu jako jeden z ostatnich. Presja jest wtedy nieporównywalnie większa. Trudno zapanować nad nią, ale z czasem zawodnik oswoja się z tym. To tylko kwestia czasu, kiedy Olek stanie na podium w Pucharze Świata. Je-

śli utrzyma taką formę, w jakiej jest teraz. Stał się liderem drużyny, gdzie są wielcy mistrzowie: Kamil Stoch, Piotr Żyła, Dawid Kubacki. To też dla niego zupełna nowość.

Podobno Zniszczoł „czuje powietrze”. Sam pan się kiedyś tak wyraził, gdy ten miał 12 albo 13 lat i trenował u pana. Co to znaczy? Da się to jakoś wyjaśnić laikowi?

– Spróbuję. Taki zawodnik jak Olek nie przeszkadza nartom. Nie ma silnego odbicia z progu, czyli takiej petardy w nogach jak Piotrek Żyła. Ale ma bardzo fajną technikę. Na rozbiegu, na progu, w locie robi wszystko płynnie. Nie szarpie się, daje się ponieść powietrzu. To jest technika szczególnie skuteczna na skoczniach dużych, czyli najlepiej na mamutach. Na Kulm podczas mistrzostw świata w lotach było widać, że Olek jest mocny. Co nie znaczy, że na skoczni normalnej musi skakać słabo. Jeśli jest w formie, Zniszczoł ma potencjał na zawodnika z czołówki Pucharu Świata na każdej skoczni. Przed rokiem nastąpił przełom. Olek uwierzył, że czołowa dziesiątka jest w jego zasięgu. Pora wykonać kolejny krok do przodu. Wierzę, że to się stanie. ●

Dariusz Wołowski

OGŁOSZENIE BEZPŁATNE

Kraj/34297332



Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą” zwraca się z prośbą o wsparcie finansowe na leczenie i rehabilitację podopiecznego Piotra Toczko. Chłopiec cierpi na Mózgowe Porażenie Dziecięce pod postacią niedowładu spastycznego czterokończynowego. Skończył 15 lat i w dalszym ciągu nie może samodzielnie się poruszać. Piotr jest pogodnym, radosnym i energicznym chłopcem, od urodzenia pozostaje pod stałą opieką lekarską oraz terapeutyczną. Patrząc na Niego, na jego podejście do życia, można zawstydzić się, że my, ciesząc się pełnym zdrowiem, narzekamy na jakiegokolwiek niedogodności dnia codziennego. Jego marzeniem jest móc biegać z kolegami i grać w piłkę. Dużą szansą na poprawę stanu Jego zdrowia są turnusy rehabilitacyjne. Jednak koszty leczenia i rehabilitacji przekraczają możliwości finansowe rodziny.

Prosimy o każdą, nawet najmniejszą wpłatę.

Fundacja Dzieciom „Zdążyć z Pomocą”

42 2490 0005 0000 4600 7549 3994

Tytułem: 26553 Toczko Piotr darowizna na pomoc i ochronę zdrowia

wyborcza

REDAKCJA ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
Telefon: 22 555 66 00 (czynny w dni powszednie w godz. 10-17);
E-mail: redakcja@wyborcza.pl
Lista do redakcji: lista@wyborcza.pl
Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania.
Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@agora.pl
REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik
PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski
ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Mikołaj Chrzan, Bartosz T. Wielński
SEKRETARZ REDAKCJI: Anna Kwiatkowska
PROJEKT GRAFICZNY: Jacek Utko
PORTRETY AUTORÓW: Agata Marszałek
Prenumerata cyfrowa: prenumerata.wyborcza.pl; pomoc@wyborcza.pl, 22 555 54 55, 519 255 455
Inne formy prenumeraty: wyborcza.pl/prenumerataGW

Kolportaż: Problemy z dostępnością „Wyborczej” lub z właściwą mutacją lokalną, informacje o możliwości kupienia dodatków: kolportaz@wyborcza.pl
Gazeta Wyborcza w serwisach społecznościowych: facebook.com/wyborcza, twitter.com/gazeta_wyborcza, instagram.com/gazeta_wyborcza

WYDAWCA
Agora SA, ul. Czerna 8/10,
00-732 Warszawa; NIP: 526-030-56-44
DYREKTOR WYDAWNICZY: Wojciech Bartkowiak
Dyrektor marketingu: Michał Bauer

REKLAMA
Dyrektor sprzedaży: Marta Gądek
Biuro reklam i ogłoszeń:
ul. Czerna 8/10, 00-732 Warszawa
reklama@agora.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44
DRUK: Agora SA
ISSN 0860-908X
Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

